NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

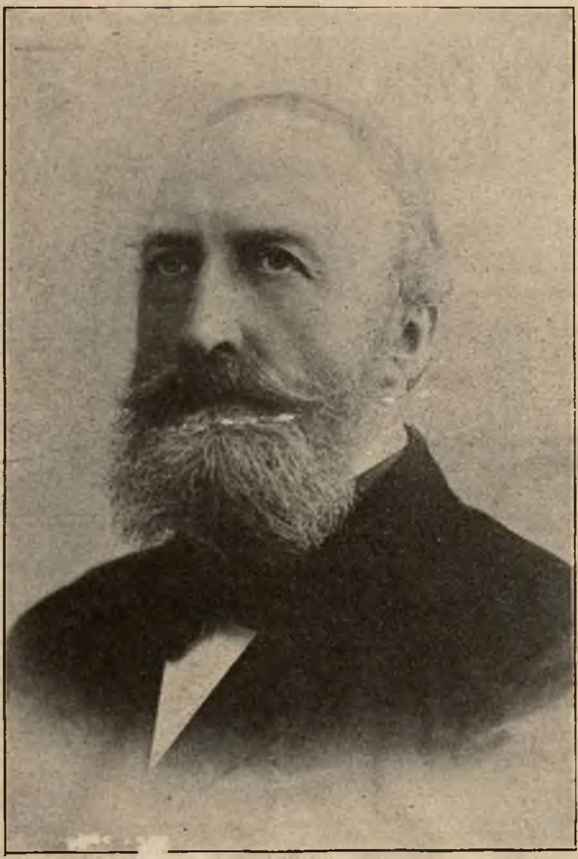
Rok V. **Kraków, 11 kwietnia 1908.** **Nr. 15.**

Tragedya w trumnie. (Treść na str. 3).



Skon zacnego obywatela.

Obywatelstwo krakowskie straciło w ubiegłym tygodniu jednego z najzacniejszych swych członków, ś. p. Konstantego Zwarzyłłę Wiszniewskiego, właściciela znanej apteki „pod Gwiazdą".

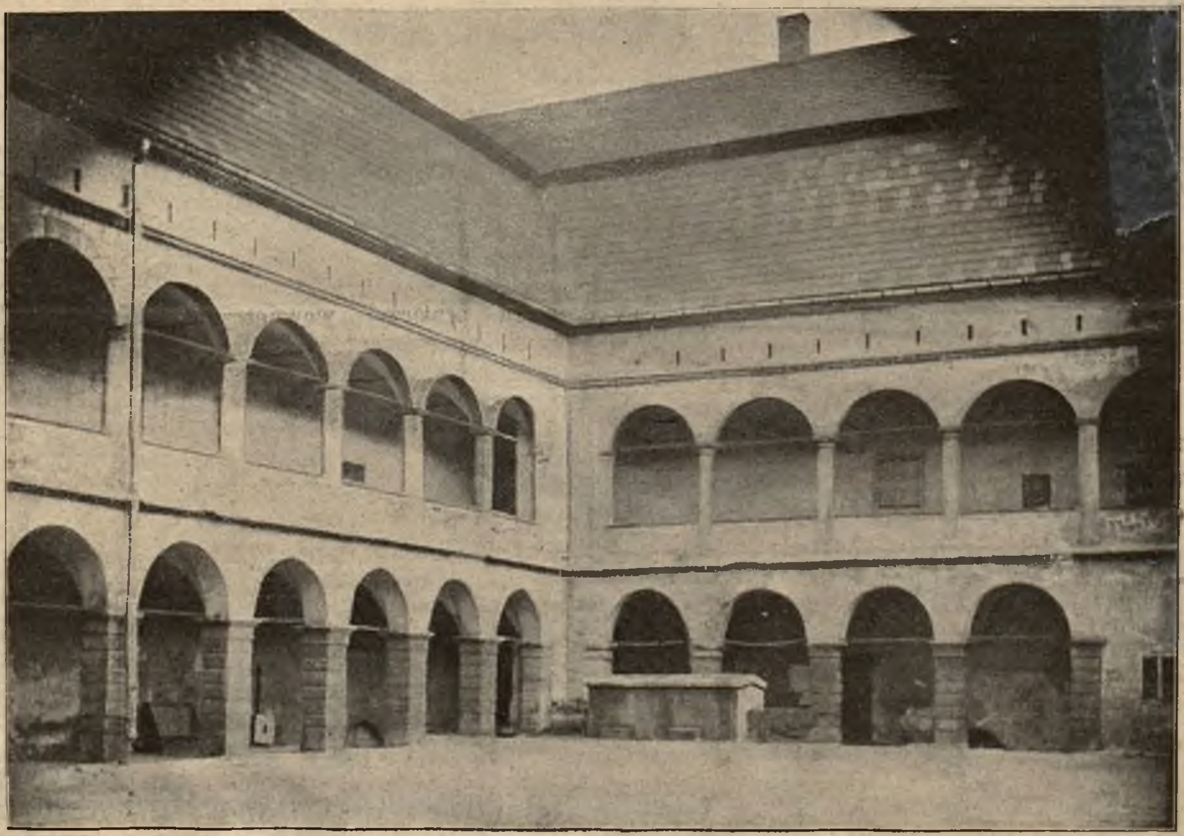


Skon zacnego obywatela: Ś. p. Konstanty Zwarzyłło Wiszniewski.

Ś. p. Konstanty Wiszniewski urodził się w Niepołomicach, całe jednak prawie życie spędził w Krakowie, który też ukochał bardzo gorąco. Jako właściciel bardzo dobrze się rentującej apteki, zebrał duży majątek. Umiał go też bardzo rozumnie używać, ofiarowując poważną część dochodów na rozmaite cele dobroczynne. Należał przez szereg lat do b. komitetu opieki nad weteranami z 1831 r., do towarzystwa św. Wincentego à Paulo i w. i.

Wychowany w zasadach katolickich i narodowych, pozostał przez całe życie wiernym synem Kościoła i Ojczyzny, zaznaczając te swe przekonania czynnym udziałem w pracach Sodalicyi maryańskiej. W stosunkach z szerokiemi kołami publiczności krakowskiej cechowała go zawsze uprzejmość i uczynność, nic dziwnego więc, że cieszył się w całem mieście wielką sympatyą i uznaniem. Skon zaś ś. p. Wiszniewskiego, prawie niespodziewany, mimo iż liczył już 69 lat życia, wywołał ogólny i serdeczny a szczery żal.

W pogrzebie zmarłego obywatela wzięło udział bardzo wiele osób, lekarze tutejsi, gremium aptekarskie, reprezentanci towarzystw humanitarnych i dobroczynnych w których śp. Wiszniewski pracował, oraz szerokie koło znajomych i przyjaciół jego. Kondukt żałobny prowadził ks. dr. Kulinowski, przemawiali zaś nad grobem p. Łuczko, imieniem gremium aptekarzy, prof. Kozłowski, jako prefekt Sodalicyi maryańskiej panów oraz dr. Lubecki imieniem Czytelni katolickiej.



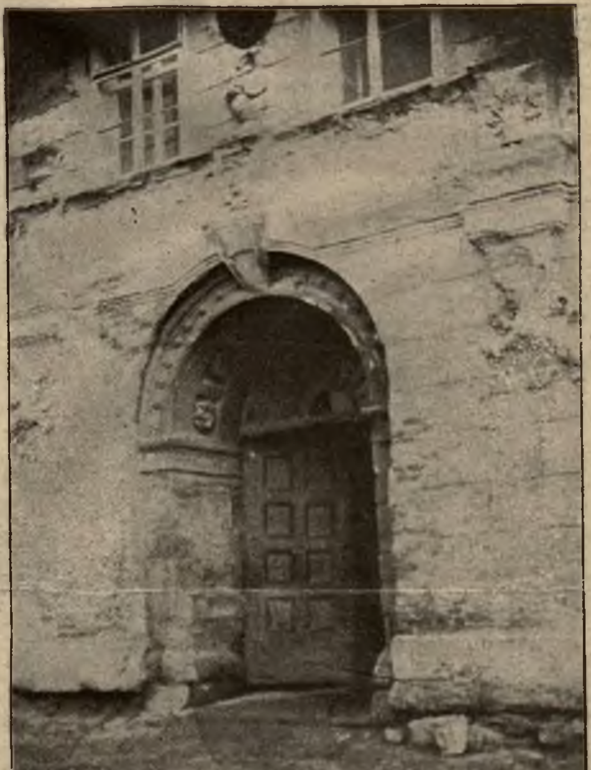
Zamek w Niepołomicach: Wewnętrzne krużganki.

Zamek w Niepołomicach.

Niedawno rozniosły pisma wieść o grożącej zamkowi królewskiemu w Niepołomicach ruinie. Przykro doprawdy, że dopiero opinia musi przypominać wyznaczonym do tego urzędom ich czynności, a tem przykrzej, że właśnie zamek w Niepołomicach jest prawie jedynym zabytkiem (prócz Wawelu), zachowanym po monarchach polskich.

Zbudowany za Kazimierza Wielkiego, który będąc zapalonym myśliwym, spędzał tu poważną część życia swego, zamek leżący w krańcu puszcz niepołomickich, stał się w krótce letnim pałacem królów polskich. Ale nietylko przygody myśliwskie w przyległych lasach wabiły doń dostojników, lecz bliskość Krakowa nadawała zamkowi charakter ostatniego postoju, gdzie z chęcią zatrzymywały się dwory królewskie celem wypoczynku, zanim odprawiły wjazd do grodu podwawelskiego. Tu zatrzymała się św. Kinga, zjeżdżając do Polski, tu Jadwigę witali dostojnicy polscy, tu Barbara wreszcie oczekiwała z niecierpliwością wjazdu królewskiego z koronacyi tyle upragnionej. Oczywiście z biegiem czasu zamek zmieniał się. W szczególności Zygmunt Stary i Zygmunt August odnowili zamek w stylu odrodzenia. Ślady te zachowały się dotychczas we wspaniałej niegdyś, dziś zniszczonej bramie zamkowej, noszącej dużo cech zamku wawelskiego. Pozostały dotychczas piękne i obszerne krużganki, a pozostały i ślady opieki królewskiej w kościele Niepołomickim. W czasie burz, szalejących nad Polską, niszczał zamek. Zrabowali i zniszczyli zamek dwukrotnie Szwedzi — a następnie po rozbiorze, skoro zamek dostał się w ręce austryackie, zamieniono go na koszary, a stojące w nim wojsko przyczynia się niemało do jego niszczenia.

Głosy prasy zapewne nie pozostaną bez echa i przypomną konserwatorom tę wspaniałą ongi rezydencyę królewską, niegdyś pełną gwaru i przepychu, dziś opustoszałą i milczącą — a może jeszcze póki czas i jest co do uratowania — przy pomocy środków uzyskanych przez rząd, da się uratować rezydencyę królewską.



Zamek w Niepołomicach: Brama wchodowa królewskiego zamku.



Zamek w Niepołomicach: Ogólny widok zamku królewskiego.

60 lat przy kaszcie drukarskiej.

Niezwykły jubileusz obchodzić będą drukarze krakowscy w najbliższym czasie. Bo oto jeden z ich grona, zecer Ignacy Bogucki, ukończy sześćdziesięciolecie zawodowej pracy. Jubilat, urodzony w Krakowie 1830 r., wstąpił tu jako 18-letni młodzieniec do drukarni Gierzkowskiego, następnie zaś pracował w drukarni Winiarza we Lwowie. Po odbyciu służby wojskowej, powrócił 1853 roku



60 lat przy kaszcie drukarskiej: Ignacy Bogucki.

do Krakowa, gdzie był zecerem w drukarni „Czasu“ i drukarni Uniwersyteckiej. W czasie powstania 1863 roku wziął czynny udział w pracach przygotowawczych, a następnie walczył w oddziale Czachowskiego. Po upadku powstania pracował przez kilka lat w Warszawie w drukarni Orgelbranda, poczem wrócił znowu do Krakowa i odtąd mieszka tu stale, zajęty pracą zecerską w drukarni Uniwersyteckiej.

Sędziwy Jubilat jest postacią w świecie drukarskim Krakowa bardzo popularną. Mimo podeszłego wieku, mimo tylu lat ciężkiej, niszczącej zdrowie pracy, trzyma się bardzo krzepko i pracuje dzielnie, jak za czasów młodości. Koledzy tutejsi przygotowują dla sędziwego Jubilata serdeczną owacyę.

Echa karnawału warszawskiego.

Już post ma się ku schyłkowi — a my wracamy jeszcze do zapomnianego... karnawału. Niezupełnie zapomnianego, gdyż wszystkim Warszawiakom żywo jeszcze tkwi w pamięci imponujący kostyum z balu „Młodej Sztuki“, symbolizujący, jak jedni chcieli — wojnę, a jak inni tłomaczyli — rewolucyę...

Trudności techniczne sprawiły, że podobizna „Symbolu“ dotychczas nie mogła była dostać się do prasy illustrowanej.

Szczegóły kostyumu następujące: czerwona tunika, czarne skrzydła, w ręku miecz, do połowy krwią zbryzgany, głowa przepasana dwoma szkieletami żmii, tak że głowy ich wypadały na skroniach... Oto detale, które złożyły się na całość niezwykle piękną i niezwykle oryginalną, wywołując ogólny zachwyt... i przynosząc jego właścicielce pierwsze odznaczenie w postaci obrazu Ruszczyca.

Chrzest na dworze królewskim.

Przed kilku dniami na dworze królewskim w Rzymie odbył się z wielką wspaniałością obrzęd chrztu św. najmłodszej córki królewskiej, księżniczki Giovanny. Wielką salę „Della Reggia“ w Kwirynale zamieniono na wspaniale przystrojoną kwiatami i gobelinami kaplicę, którą już o godzinie dziesiątej rano wypełnili zaproszeni goście, ministrowie, ciało dyplomatyczne, prezydenci Izby deputowanych i senatu i prezydent miasta, Nathan. Punktualnie o godzinie jedynastej rozpoczął się wielki pochód. Na czele kroczyło duchowieństwo, poprzedzające starszego kapelana dworu królewskiego, monsignora Beccaria.

Jednocześnie marszałek dworu otworzył wewnętrzne drzwi apartamentów pałacowych, przez które poprzedzona licznymi dostojnikami dworu weszła rodzina królewska. Naprzód szedł ks. Turynu, prowadząc pod rękę osiwiałą już staruszkę, księżną Genni, babkę obecnego króla, następnie szła królowa Helena, niosąc na ręku maleńką córeczkę Giovannę, a za nią postępowała królowa wdowa Małgorzata, otoczona trojgiem wnucząt, następcą tronu księciem Piemontu i księżniczkami Jolandą i Mafaldą, wreszcie szedł Wiktor Emanuel II. w grupie przybocznych swych adjutantów. Orszak cały przeszedł wzdłuż wielką salę i zatrzymał się dopiero przy ołtarzu, gdzie odbył się sam obrzęd. Księżniczkę trzymali do chrztu ks. Turynu w zastępstwie księcia Franciszka Battenberskiego i księżna Genni. Podczas ceremonii której z wielką uwagą przypatrywało się małoletnie rodzeństwo chrzczonej księżniczki, przygrywały na dziedzińcu pałacowym orkiestry rzymskiej załogi. Po odbytym już chrzcie król rozmawiał z licznymi dygnitarzami, podczas gdy pochód cały w tym samym porządku wracał na pokoje królewskie.

Rycina nasza przedstawia właśnie królowąwdowę i jej matkę, gdy opuszczają pałac po akcie chrztu.

Tragedya w trumnie.

(Do illustracyi tytułowej.)

Straszny wypadek, którego szczegóły dreszczem mrozu przejmują każdego, zaszedł przed paru dniami we wsi Maćkowicach pod Przemyślem. We wsi tej zmarł w podeszłym wieku włościanin Tymko Nowak i został pochowany na miejscowym cmentarzu; po skończeniu zwyczajnych ceremonii religijnych, rodzina nieboszczyka i uczestnicy pogrzebu rozeszli się do domów, a na cmentarzu pozostał tylko grabarz, który trumnę zasypywał ziemią.



Echa karnawału warszawskiego: P. Malinowska w kostyumie »Symbol«.

Podczas tej czynności posłyszał grabarz nagle jakiś głuchy łomot, dobywający się z głębi grobu, jakgdyby uderzenia w wieko trumny. Przerażony grabarz, zamiast co prędzej odkopać grób, pobiegł do miejscowego parocha, aby go spytać o radę.



Chrzest na dworze królewskim. Królowa matka i księżna Genui, wraz z królem Emanuelem II. po ceremonii chrztu

Ten jednak odesłał go do żandarmeryi. Grabarz istotnie zamierzał udać się do żandarmeryi, w drodze jednak spotkał strażnika skarbowego i opowiedział mu w krótkości zaszły wypadek. Strażnik udał się czemprędzej razem z grabarzem na cmentarz i tam polecił grób odkopać.

Straszny widok przedstawił się ich oczom, gdy trumnę odgrzebano. Oto „nieboszczyk" leżał obecnie w trumnie na boku, lewą rękę miał podłożoną



Organizacya rękodzielnicza w Cieszynie: Tymczasowy komitet organizacyjny.

pod głową, twarz wykrzywiona przedśmiertnemi cierpieniami, całe ubranie poszarpane w strzępki, a ciało pokaleczone i pogryzione, świadczyły, jak okropne męczarnie przechodził w owej trumnie żywcem pogrzebany człowiek.

Włościanin ów bowiem nie był martwym w chwili gdy go chowano, a tylko pogrążonym w letargu. Niestety we wsi owej, jak w wielu innych, funkcye oglądacza zwłok spełniał człowiek zupełnie do tego nieprzygotowany i nadający się chyba na oglądacza bydła. A także ciemnota grabarza, który zamiast odkopać trumnę natychmiast po usłyszeniu jęków i stuków, poszedł do wsi radzić się, spowodowała ten straszny, wstrząsający wypadek.

Organizacya rzemieślnicza w Cieszynie.

Zeszłej niedzieli zaszedł w Cieszynie fakt niezmiernej doniosłości, który może silnie zaważyć w życiu mieszczaństwa śląskiego. Za staraniem kilku ruchliwych jednostek odbył się w sali ratuszowej w Cieszynie wiec rękodzielników, rzemieślników i drobnych przemysłowców, celem naradzenia się nad założeniem własnej organizacyi. W wiecu wzięła udział ogromna część mieszczaństwa z Cieszyna i całego księstwa — a nadto posłowie do rady państwa i sejmu śląskiego.

Referat o potrzebie organizacyi wygłosił redaktor Zabawski, a burmistrz Cieszyna Bukowski po niemiecku powtórzył treść referatu. W dyskusyi brało udział wielu uczestników wiecu, a wszyscy wyrażali radość z powodu zamiaru zawiązania nowej organizacyi. Jednogłośnie też uchwalono rezolucyę za założeniem organizacyi rzemieślniczo-przemysłowej, a nadto wybrano komitet tymczasowy z p. Juraszkiem z Cieszyna na czele.

Organizacya ta ma doniosły cel do spełnienia, gdyż wielki kapitalizm i przemysł, który na Śląsku tak szybko i potężnie się rozwinął, zepchnął do ostatniego rzędu rzemieślnika, wydarł mu pracę, a jako silniejszy materyalnie z łatwością pokonał niezorganizowanego, słabego materyalnie rękodzielnika.

Organizacya rękodzielnicza będzie też pierwszym czynnikiem do rozbudzenia poczucia świadomości i obowiązków obywatelskich wśród mieszczaństwa tamtejszego.

Polak w dyplomacyi francuskiej.

Ze wszystkich państw afrykańskich jedyna Abissynia zdołała ustrzec się dotąd przed wszelkimi protektorami europejskimi i zachować przez t nadal swoją niezawisłość. Państwa europejskie już dawno starały się o wpływy na dworze negusa, wszelkie jednak usiłowania, czynione w tym kierunku, nie odnosiły najmniejszych pozytywnych rezultatów, zwłaszcza zaś od czasów wojny Abissyńczyków z Włochami, kiedy pod Aduą armia włoska poniosła najkompletniejszą klęskę. W ostatnich dopiero czasach pewne stanowisko zdołała sobie wywalczyć tam Francya i to w znacznej mierze dzięki usługom naszego rodaka, francuskiego dyplomaty p. Kłobukowskiego, który wysłany do Abissynii z specyalną misyą do negusa o wyjednanie pozwolenia na budowę dróg żelaznych etiopskich, z otrzymanego zlecenia wywiązał się jak najpomyślniej i obecnie wraca do Francyi. Rząd francuski wysłał teraz do Abissynii stałego swego ministra upełnomocnionego, p. Brice, który w dalszym ciągu będzie prowadził rozpoczęte już dzieło. Rycina nasza przedstawia właśnie chwilę, gdy wysłanego przez negusa ministra abisyńskiego Nagadi Ras Haile Gorgisa na spotkanie poselstwa francuskiego, p. Kłobukowski przedstawia swojemu następcy.

Dziennikarz ranny w bitwie.

(Do illustracyi na str. 10).

Jednocześnie z rozpoczęciem akcyi zbrojnej w Maroku, wielkie dzienniki paryskie wysłały na pole walki własnych korespondentów, którzy mają uzupełniać swymi opisami zbyt lakoniczne wiadomości, podawane przez ministerstwo wojny.

Dla zebrania potrzebnych informacyj i przedstawienia dokładnie całego przebiegu dotychczasowych walk, dziennikarze na równi z żołnierzami musieli znosić wszelkie niewygody życia obozowego, brać — choć zresztą tylko bierny — udział w potyczkach i narażać się na niebezpieczeństwa, bez nadziei uzyskania za to jakiejkolwiek sławy.

Smutny też los spotkał pewnego przedstawiciela prasy paryskiej, któremu w czasie jednej z licznych potyczek nieprzyjacielska kula strzaskała nogę.

Rana wprawdzie, odniesiona przez dzielnego dziennikarza nie jest na szczęście ciężką, niemniej zmusiła go do opuszczenia pola walki i długiego pobytu w szpitalu.

Rycina nasza przedstawia właśnie ofiarę obowiązku, gdy na wózku żołnierskim udaje się z obozu do szpitala w Cassablance.



Polak w dyplomacyi francuskiej: Poseł francuski Kłobukowski przedstawia swego następcę w Abissynii zastępcy Menelika.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

21 (Ciąg dalszy).

— Ale spójrz pan, co się dzieje? — i szerokim gestem ręki wskazał na stojących i tłoczących się pasażerów, którzy zniecierpliwieni poczęli się odgrażać.

— Meldowałem na stacyi X., że pociąg jest już przepełniony — usprawiedliwiał się podwładny.

— Hm... tak?... Załatw pan zgodnie z tymi panami — wskazał na dwóch pasażerów — a ludziom zapowiedzieć, że „przykupluje“ się świeże wagony... niech nie wrzeszczą.

— Rozumiem, panie naczelniku — salutował, a do dwóch pasażerów — proszę za mną, zaraz poradzę... a panowie samego pana naczelnika męczą — spojrzał w stronę odchodzącego, czy słyszy jego uwagę.

Naczelnik zafrasowany nie słyszał słów prowadzącego pociąg, cały był zajęty wyszukaniem sposobu wybrnięcia z powodu nieprzygotowania wagonów zapasowych. Przygnębiało go, że Stański chciał mieć w pogotowiu wagony, a on sam zabronił. Spojrzał na zegarek. Jeszcze trzy minuty postoju, a tu wagony trzeba przesuwać na inny tor, przyciągać, dołączyć do pociągu i oddać je pasażerom. Na pewno opóźnienie, może dziesięć, może więcej minut. I jak tu zapisać w godzinnym wykazie?

Nagle twarz jego rozjaśniła się, uśmiechnął się, gdyż powziął myśl zbawczą.

Właśnie na peronie spotkał Stańskiego, wychodzącego z biura i zawołał tonem urzędowym:

— Dlaczego nie meldował mi pan o przepełnieniu pociągu?

Tuż podeszła naczelnikowa, zaniepokojona dość groźną postawą tłumu robotników.

— Z rozkazu pana naczelnika -- odpowiedział Stański — cofnąłem rozkaz przygotowania dodatkowych wagonów.

— Ja wcale nie słyszałam tego — wmieszała się naczelnikowa tonem decydującym.

Stański spojrzał na nią, nie bez pewnego obrzydzenia, lecz skłonił się grzecznie i powiedział:

— To sprawa czysto urzędowa.

— Impertynent - mruknęła dość głośno i z miną obrażonego majestatu poszła dalej.

— Panie Stański! — rzekł surowo naczelnik — nie słyszałem wcale o depeszy donoszącej, że pociąg przepełniony.

— Jednak zawiadomiłem i zwołałem służbę, ażeby przygotowała wagony zapasowe.

— Nie powiedział mi pan wyraźnie powodu... wina spada tylko na pana... nie jestem duchem świętym, ażebym wiedział o depeszy.

— Mam świadków — mruknął Stański.

— A, co za wiele, to za wiele — wybuchnął naczelnik — nie myślę znosić impertynencyj... Odpowie pan za opóźnienie przed dyrekcyą.

— Do usług pana naczelnika — rzekł tonem mimowolnie drwiącym — a teraz muszę naprawić błędy... no, nie moje.

Poszedł dość szybko w stronę służby i polecił przesuwać wagony. Jednak długi pociąg osobowy przecinał tor dalszy i dopiero po ustąpieniu całego pociągu udało się wagony przyczepić. A zanim związano wozy i wsiedli pasażerowie, minęło dwadzieścia minut.

— Panie Stański! — zawołał naczelnik — zapisz pan do „sztundenpasu“ spóźnienie i powód tegoż.

— Wiem, panie naczelniku.

. . . .

Życie na stacyi w Horyni stawało się z każdym dniem coraz cięższe i trudniejsze tak dla Janki, jak i dla Stańskiego. Przesycone było ono z jednej strony niechęcią i rozgoryczeniem, a z drugiej strony zapędami despotycznymi przełożonego, który stał się bardzo drażliwym na punkcie swej niewzruszonej powagi i posłuszeństwa podwładnych.

Niespodziewanie jednego dnia, gdy Janka pełniła służbę w kasie, zjechał do Horyni Wapieński. Dopytawszy się o Jankę, poszedł do okienka kasowego, na razie zasłoniętego firanką i zapukał.

Janka zobaczywszy go, z uśmiechem miłej niespodzianki podała mu rękę, mówiąc:

— Wy tutaj? Na długo? — i patrzała w jego spokojną twarz, która obecnie miała odcień jakiejś surowej powagi.

— Jestem w przejeździe... chciałbym z wami pogadać.

— Mam służbę — odpowiedziała nie bez przykrości — szkoda, że nie przyjechaliście wczoraj, albo jutro, gdy będę wolna.

— Wczoraj minęło niepowrotnie — uśmiechnął się — jutro będzie dopiero, ale w przestrzeni i czasie mamy dzisiaj. Czy nie możecie budy swej opuścić na godzinę?

Janka wahała się, postanowiła bowiem pełnić służbę tak pilnie, ażeby naczelnik nie miał sposobności zrobić jej zarzutu. A tu po odejściu ostatniego pociągu nie wciągnęła do „Journalu“ sprzedanych biletów.

— Ma pani dwie i pół godziny do następnego pociągu — odezwał się z głębi pokoju kasowego Jarkowski — może pani rozmówić się ze znajomym. Regulamin pozwala na to — dodał drwiąco.

— Więc chodźmy — zachęcił Wapieński — za pół godziny wrócicie.

Janka wyszła, a gdy ją zobaczył Wapieński w jasnem świetle na peronie, spytał tonem współczucia:

— Co wam się stało? Wyglądacie marnie, jak gdybyście wyszli z cytadeli.

— Zmęczona jestem — odpowiedziała wymijająco — mniejsza z tem, co słychać u was? Dlaczego przyjechaliście?

— Mógłbym odpowiedzieć, że chciałem was zobaczyć — uśmiechnął się — ale nie powiem. Przyjechałem, bo mam do was interes dosyć ważny i potrzebuję was.

— Mnie? — zdziwiła się — mówcie.

— No wiecie, tak, na peronie, gdzie kręci się tylu ludzi, nie powiem... ale to pora obiadowa, wy stołujecie się w restauracyi?

— Nie, ale dziś zrobię wyjątek... zaczekajcie chwilkę — skinęła na posługacza i powiedziała: — proszę was, zawiadomcie panią Zgierską, że nie będę dziś na obiedzie — i zwracając się do Wapieńskiego, dodała: — teraz chodźmy.

Zajęli w restauracyi kolejowej mały stolik i kazali podać obiad.

— Za kwadrans będzie gotów — odpowiedział garson.

— Czy mieszkacie u nas? — spytała po chwili Janka.

— Nie. Mieszkanie wziął jeden z moich znajomych, a sam wyjeżdżam do Królestwa.

— Wy?!... Przecież wam nie wolno wracać i będziecie aresztowani.

— A zaraz więzienie — uśmiechnął się — to będzie kiedyś, a na razie jestem austryackim poddanym, mam paszport w porządku i nie jadę do Warszawy, gdzie mogą mnie poznać nieproszeni opiekunowie, ale do Łodzi.

— I po co?

— Zabawne pytanie. Tam rewolucya, walka, krew się leje, a ja mam być bezczynnym? Rozumiecie?

— Wiem i rozumiem was, bo i mnie chwilami tak wabi, nęci, kusi rewolucya, że tylko wysiłkiem woli nie zrywam obroży i łańcucha.

— Ale uspokójcie wasze nerwy — zaśmiał się — co po was tam, w Królestwie? Nie znacie stosunków, ludzi, jesteście zdenerwowana, osłabiona i po waszych ruchach, minie, oczach najgłupszy szpicel wpakowałby was do dziury. Tu możecie być nam pożyteczną i starajcie się utrzymać na miejscu.

— Dobrze... powiedzcie mi tylko, co mam robić, a postaram się.

— Zaraz... Czy macie czas wolny, ażeby być przy nadejściu pociągu?

— W dniu służby nie mogę.

— Macie kogo zaufanego na dworcu?

— Nie wiem, o co idzie?... Zresztą jestem tu niedawno i prawie na nikogo nie mogę liczyć.

— No, do konspiracyjnej roboty nie zdradzacie zdolności — uśmiechnął się — sądziłem, że będziecie mogli odbierać paczki, wysyłać przez zaufanych na miejsce przeznaczenia... no i że otrzymacie potrzebną ilość przepustek z Horyni, jako stacyi pogranicznej.

— Bardzo żałuję — westchnęła Janka ze szczerem zmartwieniem — że na razie są to rzeczy dla mnie bardzo trudne, niemal niemożliwe.

— Szkoda... liczyłem na was. Czemże wy zajmujecie się w dniach wolnych?

— Czytam, nawiązuję znajomości z żonami służby kolejowej, rozmyślam...

— I tak dalej, i tak dalej — zaśmiał się — ale gdy nie możecie nam być pomocną na razie w tamtych sprawach, mam inną robotę dla was, a mianowicie...

Wtem podszedł garson, przynosząc zamówiony obiad i niemal równocześnie otworzyły się drzwi wejściowe od peronu i do sali weszli urzędnicy kolejowi, a między nimi i Stański.

Wapieński rzucił okiem na wchodzących i po chwili, patrząc w stronę siedzących urzędników, rzekł do Janki:

— Zdaje mi się, że jednego z tych panów znam, ale gdzie go widziałem, nie mogę sobie przypomnieć.

Janka spojrzała w tamtą stronę i mówiła przyciszonym głosem:

— Pewnie mówicie o Stańskim... pamiętacie to zgromadzenie kolejarzy w pokoju waszym?

— Ach, wiem już... Jakże wy z nim jesteście?

— Tak sobie... On pierwszy podejrzewał mnie, że zdradziłam schadzkę naszą, mówiłam wam.

— A tak, tak... Ale to dzieciństwo, nie bierzcie tego na serjo... czy on tutaj służy?

— Tak... w służbie ruchu.

— Czy on pewny człowiek?

— Zdaje mi się, że tak.

Wapieński wstał, podszedł do urzędników siedzących i przypomniał się Stańskiemu, prosząc, aby usiadł razem z nim przy Jance.

Stański, który pragnął załagodzić sprawę z Janką, zgodził się chętnie i zbliżywszy się do Janki, wyciągnął rękę, mówiąc:

— Przepraszam was, postąpiłem sobie wówczas źle i niesprawiedliwie.

Janka w milczeniu podała rękę do uścisku, a Wapieński zauważył:

— Przyznanie wasze maże winy... i już zgoda. A wy należycie do partyi?

— Dotychczas, nie.

— Ale chcecie być nam pomocni w sprawach partyjnych?

— Bardzo chętnie i szczerze.

Wapieński opowiedział o przyjmowaniu i wysyłaniu paczek.

— Co one będą zawierały? — spytał Stański.

— Jak kiedy... czasem broszury, proklamacye, druki różne...

— No, a broń?

— I to może się zdarzyć. Wasza rola polega na tem, że ktoś przyjedzie i odda wam paczkę. Schowacie starannie i ostrożnie. I znów zgłosi się do was ktoś, temu oddacie i będziecie mu pomocni, ażeby bezpiecznie dostał się do Królestwa.

— Rozumiem — mówił z namysłem — mogę ułatwić... ale mieszkam wspólnie z kolegą... idzie o przechowanie.

— Oddacie do mnie. Paczki będą bezpieczne — odezwała się Janka.

— Więc skończone — rzekł Wapieński — ale zalecam wam ostrożność. Wiemy, że tu są szpiedzy rosyjscy i możecie narazić się rządowi austryackiemu.

— Bądźcie spokojni, dopilnuję się.

— A gdybyście mieli pewnych ludzi do wysyłki, tem lepiej, adresy potrzebne zostawię. I jeszcze jedno, czy mogę liczyć na wasze pośrednictwo na trzy do sześciu miesięcy? — spytał Wapieński.

— Tego nie wiem... Prawdopodobnie naczelnik zrobił doniesienie na mnie, czy też podał skargę do dyrekcyi... Wszystko zależy od inspektora, który będzie sprawdzał na miejscu.

— Hm... a inspektor dobry człowiek? Sądzę bowiem, że nie poczuwacie się do winy...

— Do żadnej, ale Lerche, inspektor, jest znany z przesadnej gorliwości i może nietylko mnie utrącić, ale i towarzyszkę.

— Więc i wy?! — zawołał Wapieński — cóż zawiniliście?

— Nie wiem — odpowiedziała Janka — naczelnik coś upatrzył sobie do mnie i dokucza mi.

— To źle, a nawet gorzej niż źle... tak liczyłem na was! I niema sposobu załagodzenia?

— Czyż tak dużo wam zależy na nas? — uśmiechnęła się Janka — nie będzie nas, znajdą się inni.

— Bo wam się nie spieszy — rzekł porywczo Wapieński — a pod nami ziemia się pali. Jutro muszę być rano w Łodzi, a brak waszej pomocy utrudni nam sprawę.

— Tymczasem jesteśmy do waszego rozporządzenia — mówiła Janka — a w danym razie znajdą się zastępcy.

— Na pewno? — spytał niedowierzająco Wapieński — liczcie się ze słowami.

— Więc znajdą się — powiedziała z wielką pewnością w głosie.

— Wierzę wam... No, a teraz druga sprawa... Wprawdzie wyszedłem już z roboty galicyjskiej, ale sprawa mnie interesuje. Otóż tu, w Horyni, rozstrzygnie się wybór pomiędzy konserwatywnym i rządowym burżujem hr. Mirskim, a naszym kandydatem Dyrkowskim, który tu jest maszynistą czy majstrem we fabryce. Zależy na głosach kolejarzy, no i robotników... należałoby zająć się agitacya. Znacie Dyrkowskiego?

— Nie.

— Cóż wy tu robicie? — zawołał Wapieński zgorszony. A może nie wiecie, że Mirski za poradą swego adwokata Kamerskiego zwołuje wiec robotników pod pozorem założenia „Sokoła?“

— Słyszałem o tem — rzekł Stański.

— Temu trzeba przeciwdziałać, nie dopuścić do wyboru jego zauszników do wydziału... To taka prosta i łatwa robota. Jedną dobrą mową na wiecu, można cały gmach karciany Mirskiego wywrócić. A wy siedzicie bezczynni — kończył z wyrzutem — w ten sposób nie prowadzi się celowej roboty.

— Mamy czas... zrobi się — mówił Stański spokojnie.

Janka spojrzała z niepokojem na zegar i rzekła wstając:

— Muszę iść... służba... Bywajcie zdrowi — podała rękę.

— Może dowidzenia — uśmiechnął się Wapieński — no i liczę na was bez zastrzeżeń. Bez zawodu?

— Już powiedziałam — odrzekła poważnie — a co do agitacyi, zrobię, co będę mogła. Bywajcie!

— Dowidzenia — wyciągnął rękę i uścisnął serdecznie.

— A zawezwiecie mnie?

— Jeśli zajdzie potrzeba, nie będę się wahał.

Gdy zostali sami, rzekł Wapieński:

— Z niej może być dzielny człowiek.

— Może — powiedział Stański — ale za dużo ma zastawek i przesądów w życiu.

— Jak to rozumiecie?

— Zanim przyjdzie do czynu, to tak krytykuje, analizuje, waha się, cofa, idzie naprzód i staje, że nigdy nie można wiedzieć, jaką drogę obierze.

— Czy dobrze ją znacie?

— Czy dobrze? — powtórzył z uśmiechem — wcale nie znam jej psychiki, obserwuję, patrzę, no i widzę... może i mylnie... Darujcie, ale i ja muszę iść do służby.

— Liczę na was — podał rękę Wapieński.

— O ile tu będę... a gdyby mnie przeniesiono lub wydalono, Trawecka postara się o zastępcę.

— Wierzycie jej?

— Najzupełniej. Może tam więcej uporu, aniżeli woli silnej, ale swoje przeprowadzi.

Gdy Stański wyszedł na peron, zbliżył się do niego Chrustowski i szepnął:

— Wiesz, stary przeczytał twoje usprawiedliwienie w sprawie opóźnienia pociągu i z miejsca uzupełnił je swojemi uwagami. Musiał cię porządnie osmarować, bo uśmiechał się do siebie i mruczał zadowolony.

— Czy już wysłał do dyrekcyi?

— Posłał rano. Pewno jutro przyjedzie inspektor na dochodzenie, przygotuj się, bo będzie heca...

— Mniejsza z tem, łba mi nie urwą — zaśmiał się nieszczerze.

— Ale zapłacisz „penale“ i dopiszą w „personaliach“.

— Zobaczymy.

W tej chwili zbliżył się do rozmawiających jakiś robotnik, trzymający pod pachą zwój papierów, a w ręku garnek z klejem i pędzlem. Skłonił się nisko i do Chrustowskiego, który miał służbę na dworcu, rzekł z miną pokorną:

— Czy pozwoli pan naczelnik nakleić na ścianie ogłoszenie?

— Jakie? — wyciągnął rękę i wziął podany afisz, wydrukowany czerwoną farbą.

Było to wezwanie na wiec tak inteligencyi, jak i robotników, celem założenia gniazda „Sokoła“ i obmyślenia środków na zakupno boiska i przyrządów.

Chrustowski zwracając afisz, rzekł:

— Idźcie do pana naczelnika... to nie należy do mnie — a po odejściu naklejacza dodał: — słuchaj Stański, a to co za heca z tymi „Sokołami?“

— Manewr wyborczy... a kiedy ten wiec? nie pamiętasz?

— W sobotę... za cztery dni.

— Tak?... To dobrze, będę miał czas wolny.

— Czy pójdziesz?

— Prawdopodobnie... trzeba brać udział w życiu konstytucyjnem — uśmiechnął się ironicznie.

— Słyszę starego.. już zrzędzi—szepnął Chrustowski i rozeszli się każdy w swoją stronę.

XIII.

Jak przewidział Chrustowski, na drugi dzień zjawił się inspektor Lerche w sprawie dochodzenia przyczyny opóźnienia pociągu.



Zajęli w restauracyi kolejowej mały stolik i kazali podać obiad.

Wyświeżony, starannie ubrany, nie miał na razie swej nieprzystępnej, urzędowej miny. Ciemne jego oczy patrzyły dobrze i jasno na świat i ludzi...

Wysiadłszy z wagonu udał się wprost do biura urzędnika ruchu, przywitał się uprzejmie i spytał:

— Czy pan Stański na służbie?

— W tej chwili jest na torze — odpowiedział Chrustowski, zdziwiony niezwykłą grzecznością — czy mam go zawołać?

— Zaczekam — odpowiedział Lerche i złożywszy tekę zamkniętą z papierami na stole, wyszedł na peron.

Przeszedłszy restauracyę, zajrzał niby mimowolnie do kasy, a widząc Osteckiego pełniącego służbę, spochmurniał na razie. Wracając na peron natknął się na naczelnika, uwiadomionego o jego przyjeździe.

— A, sługa pana inspektora — ukłonił się nisko i ściskał podaną dłoń — spodziewaliśmy się dzisiaj pana... Mam nadzieję, że nie odmówi nam pan i zechce zjeść obiad z nami.

— Dziękuję, ale jestem już niemal po obiedzie, bo po sutem śniadaniu.

— Więc na czarną kawę — nalegał naczelnik. Alisia robi wyborną kawę.

— To już chyba po urzędowych czynnościach — wtem wzrok jego padł na afisz o wiecu i dojrzał Jankę, która czekając na Stańskiego, czytała ogłoszenie.

Stęskniony do Janki, spragniony jej towarzystwa, porzucił naczelnika bez słowa usprawiedliwienia i szybko zbliżył się do Janki.

Z rozjaśnioną twarzą, z oczyma rozpromienionemi radością podał jej rękę i powiedział nawet tak banalne przywitanie, jak:

— Dzień dobry pani — słodkim głosem i patrzał w jej oczy, a widząc ją pobladłą, z oczyma podkrążonemi, spytał z troskliwością: — co pani jest? Była pani chora?

— Nie... to po nocnej służbie.

— Dlaczegoż pani nie odpocznie w swem mieszkaniu przez kilka godzin w nocy?

— Regulamin zabrania — uśmiechnęła się.

— Ach tak!?... Czy mogę odwiedzić panią, mam dużo do pomówienia.

— Czy nie można tutaj? — spytała spokojnym głosem.

— Tu?... W takim tłoku, ścisku, gdzie wszyscy patrzą, słuchają...

— Sekretów nie mamy — zaśmiała się — chyba z urzędu... Czy pan przyjechał w sprawie pana Stańskiego?

— Tak jest... mam zrobić dochodzenie.

— Czy i ja będę przesłuchana?... — a widząc jego zdziwienie, dodała: — gdyż byłam świadkiem ich zajścia i pan wyda wyrok; będę przesłuchana, czy dobrze?

— Zastosuję się do życzenia pani.

Janka widząc skwaszoną minę naczelnika i Stańskiego wracającego z toru do biura, podała rękę inspektorowi i dodała z uprzejmym uśmiechem:

— Zatem, do widzenia.

Lerche ukłonił się bardzo grzecznie, uścisnął jej rękę, przez chwilę patrzał za odchodzącą, wreszcie zwrócił się do naczelnika, stojącego w pobliżu:

— Przyjechałem w sprawie owego spóźnienia pociągu. Pan hofrat czekał sam na dworcu przez dwadzieścia minut na ten pociąg.

— To nie z mojej winy — usprawiedliwiał się naczelnik — jak zresztą wyjaśniłem. Przy tym pociągu pełnił służbę Stański... nie zameldował mi o depeszy.

— To możliwe... ale ja muszę zrobić dochodzenie.

— Naturalnie, tylko pozwolę sobie zwrócić uwagę pana inspektora na jego zachowanie się. Jest szorstki, niegrzeczny i nie rozumie swego stosunku do przełożonych.

— Są świadkowie?

— Zdaje się, wystarczy, gdy mówię — obruszył się naczelnik—dość powiedzieć, że on uczy mnie, swego przełożonego, co to jest regulamin służbowy?

— Hm... Zobaczymy — powiedział Lerche, wspomniawszy słowa Janiny, ażeby nie osądzał zbyt pospiesznie.

Wraz z naczelnikiem przyszli do biura, a Lerche wezwał Stańskiego do ustnego zeznania.

— Do tego, co napisałem w objaśnieniu na wezwanie dyrekcyi, nic nie mogę dodać, ani ująć — powiedział Stański spokojnie – jako kierownik zarządziłem przygotowanie wagonów. Zwołałem ludzi — tu wymienił nazwiska służby kolejowej — i z rozkazu pana naczelnika cofnąłem wydane rozporządzenie.

— Ale o otrzymanej depeszy pan nic nie wspomniał — zawołał gniewnie naczelnik.

— Meldowałem, że pociąg jest przepełniony, a Horynia da przeszło stu podróżnych. W odpowiedzi usłyszałem: „że motłoch robotniczy nie udusi się w pociągu“.

Lerche spojrzał surowo na naczelnika i rzekł tonem wymówki:

— Każdy kto zapłaci za bilet, ma prawo do siedzącego miejsca w wagonie. Ta zasada obowiązuje całą kolej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zwycięski jeździec.

Nadzwyczajnie szczęśliwym jeźdźcem jest rotmistrz kawaleryi austryackiej, Hugo bar. Eltz, który w ciągu niewielu lat swej „karyery“ wyścigowej brał udział w 1100 jazdach, a odniósł 330 zwycięstw. W ten sposób zdobył on rekord nietylko w Austryi, ale wogóle w świecie, gdyż nikt dotychczas — pomijając oczywiście zawodowych dżokejów — nie może się poszczycić taką ilością zwycięstw.



Zwycięski jeździec: Rotmistrz Hugo bar. Eltz.

Stąd też rotmistrz Eltz znany jest w szerokich kołach sportowych i cieszy się opinią niepokonanego. Tryumfy swoje zawdzięcza on swej niezłomnej energii, która pozwala mu pokonywać wszelkie trudy trainingu.

Ze względu na wiek swój, liczy obecnie 36 rok życia, spodziewać się może jeszcze wielu zwycięstw, zwłaszcza że nie myśli porzucać swego ulubionego sportu.

Abstynenci w Królestwie.

W ubiegłym tygodniu odbył się w Warszawie I Zjazd delegatów z całego Królestwa towarzystwa zupełnej wstrzemięźliwości od napojów alkoholowych pod nazwą „Przyszłość“.

Na zjazd przybyło 35 delegatów z Łodzi, Radomia, Lublina, Łomży, Mińska Mazowieckiego i głównego zarządu w Warszawie; nie przybyli delegaci z Żyrardowa, Piotrkowa, Młodejowa, Słupcy i Siedlec.

Zagaił obrady dr. Augustyn Wróblewski, przewodniczyła p. Zofia Nowacka z Łomży. Delegaci poszczególnych oddziałów zdawali sprawę z działalności kół towarzystwa na prowincyi. Ogółem wyniki są dodatnie: idea wstrzemięźliwości rozwija się w całem Królestwie pomyślnie.

Bardzo ważnym punktem obrad zgromadzenia delegatów była kwestya objęcia przez „Przyszłość“ kierownictwa i zarządu tzw. kuratoryów trzeźwości, utworzonych w Warszawie przez rząd. Instytucya ta mianowicie nie przyjęła się w tej formie i nie cieszyła bynajmniej popularnością wśród ludności. Wobec tego rząd zwrócił się z propozycyą do tow. „Przyszłość“, aby objęło opiekę nad instytucyą. Walne zgromadzenie nie powzięło na razie decydujących w tym kierunku uchwał. Niewiadomo bowiem, jakie się z tą propozycyą łączą intencye rządu. Zarząd „Przyszłości“ obawia się, by z tego powodu nie ucierpiała ona sama, gdyby rząd zmienił swój stosunek do idei wstrzemięźliwości.



Nadzieja Hiszpanii: Królowa hiszpańska Wiktorya z synem, księciem Asturyi.

Nadzieja Hiszpanii.

Młodociany król hiszpański Alfons XIII., który niedawno dał dowody niezwykłej odwagi, udając się w podróż do Barcelony, źródła anarchii hiszpańskiej, okazuje pewną lękliwość, gdy choć na najmniejsze niebezpieczeństwo może być narażony jego syn i następca, kilkumiesięczny książe Asturyi.

Będąc przygotowanym na ewentualność, iż każdej chwili, a zwłaszcza w podróży, może go dosięgnąć skrytobójcza kula anarchisty, nad potomkiem swym rozciąga tak pieczołowitą opiekę, iż nigdy dla bezpieczeństwa nie pokazuje się z nim publicznie. W czasie niedawnej wycieczki pary hiszpańskiej do Anglii, przez cały czas trwania tej podróży książę Asturyi, znajdował się na rękach niańki w innym wagonie, podczas zaś przejazdu króla hiszpańskiego z żoną przez miasto, następcę hiszpańskiego tronu przewieziono chyłkiem, bocznemi ulicami do pałacu. Rycina nasza przedstawia ostatnią fotografię hiszpańskiej królowej Wiktoryi wraz z „pociechą“, która rodzicom swym tyle trosk sprawia.

Kanclerz Rzeszy w Wiedniu.

Równocześnie niemal, gdy cesarz Wilhelm II. bawił w Wenecyi, najwyższy dostojnik jego państwa, kanclerz Rzeszy ks. Bülow przybył z wizytą do Wiednia, aby wspólnie z austryackim ministrem spraw zagranicznych bar. Aehrenthalem omówić kilka kwestyj, odnoszących się do interesów trójprzymierza na półwyspie Bałkańskim.

Przybył ks. Bülow do Wiednia w niedzielę u-



Abstynenci w Królestwie: Uczestnicy walnego zgromadzenia delegatów tow. »Przyszłość« w Warszawie. Dr. Augustyn Wróblewski (X).

biegłego tygodnia rano, powitany na dworcu przez ambasadora niemieckiego Tschirsky'ego oraz personal ambasady. Po śniadaniu i zwiedzeniu biur niemieckiej ambasady, odwiedził kanclerz Rzeszy ministra Aehrenthala, premiera bar. Becka, oraz wspólnych ministrów wojny i skarbu.

Popołudniu odbyła się ważna konferencya polityczna między ks. Bülowem a baronem Aehrenthalem, podczas której roztrząsano cały szereg spraw bieżącej polityki, głównie zaś sprawę bałkańską i budowę kolei sandżackiej. W omawianiu tych spraw doszli ministrowie do najzupełniejszego porozumienia.

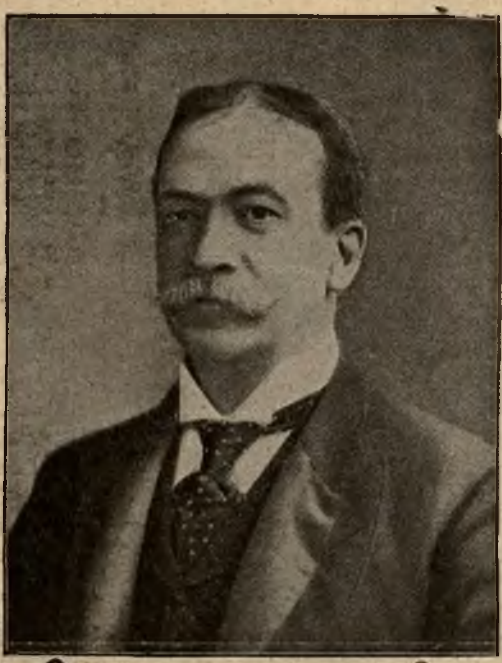


Kanclerz Rzeszy w Wiedniu: Powitanie ks. Bülowa przed dworcem kolejowym

Na cześć gościa odbył się wieczór obiad u bar. Aehrenthala, na którym to obiedzie byli obecni także prezydenci ministrów: austryacki bar. Beck i węgierski dr. Weckerle.

Następnego dnia rano pojechał ks. Bülow automobilem do Schönbrunu, gdzie został przyjęty przez cesarza na specyalnej audyencyi i zabawił pół godziny. Wieczór tego dnia dał obiad ambasador bawarski, poczem ks. Bülow odjechał z powrotem do Berlina.

Charakterystycznem jest, że „kanclerz wywłaszczenia“ nie spotkał się z żadnym z ministrów polskich.



Polityka śmieszności: Dawid James Hill.

Polityka śmieszności.

Cesarz Wilhelm nie przestaje zajmować osobą swoją opinii publicznej. Niedawno wywołał cały szereg uszczypliwych o sobie uwag z powodu znanego listu do lorda Tweedmoutha, dzisiaj znowu oburzył na siebie rząd Stanów Zjednoczonych wystąpieniem swem przeciw świeżo mianowanemu do Berlina ambasadorowi amerykańskiemu, Hillowi.

Nowy przedstawiciel Ameryki, choć należy do najwybitniejszych dyplomatów Stanów Zjednoczonych, posiada jednak w oczach cesarza Wilhelma tę wielką, nie do darowania winę, iż nie rozporządza wielkim majątkiem, a zatem nie będzie mógł roztaczać takiego przepychu, jakim otaczać się pragnie cesarz Wilhelm. Wskutek też tego cesarz Wilhelm, uważając w swej wielkiej serdeczności dla Ameryki, iż skromny sposób życia jej przedstawiciela może szkodzić interesom tego wielkiego mocarstwa, nie namyślając się długo, zażądał mianowania bogatszego ambasadora.

Rząd Stanów Zjednoczonych, zaskoczony nagle tym niespodziewanym i jedynym w dziejach dyplomacyi wypadkiem, nie namyślał się długo nad odpowiedzią, która streściła się w postanowieniu utrzymania w swej mocy pierwotnej nominacyi.

Cesarz Wilhelm powinien był oburzyć się na zignorowanie swej troskliwości o dobro Stanów Zjednoczonych, niestety Ameryka posiada marynarkę, z którą trudno byłoby walczyć, a więc racya stanu kazała żądanie zadośćuczynienia zostawić na później.

Tragiczny skon dwu kapłanów-przyjaciół.

Nadzwyczaj smutny i prawdziwie tragiczny wypadek miał miejsce w ubiegłym tygodniu we wsi Pęcicach pod Warszawą. Oto na cmentarzu miejscowym odbywał się pogrzeb śp. ks. Wincentego Kuderki, emerytowanego a wielce zasłużonego kapłana, b. proboszcza Pęcic, a ostatnio kapelana zakładu wychowawczego w Dyrdach.

Na pogrzebie ks. Kuderki był w orszaku licznego duchowieństwa, także przyjaciel serdeczny



Tragiczny skon dwu kapłanów-przyjaciół: Ś. p. Ks. Franciszek Marmo i ś. p. ks. Wincenty Kuderko.

zmarłego, sędziwy proboszcz z Kobełki pod Warszawą, ks. Franciszek Marmo. Kapłan ten, wzruszony głęboko śmiercią ukochanego przyjaciela, przejął się tak szczerze smutnym aktem ceremonii pogrzebowych, a zwłaszcza podniosłą, pełną serdecznego żalu przemową ks. Skarzyńskiego, iż zasłabł nagle, padł nad grobem zmarłego przyjaciela i ducha wyzionął.

Nagły ten, niespodziewany a tragiczny wypadek wywarł na obecnych ogromne, wstrząsające wrażenie. Nie mniej głęboko odczuli skon swego duszpasterza parafianie z Kobełki, którzy ś. p. ks. Marmę otaczali nietylko czcią wielką, ale i miłością głęboką. Parafią tą bowiem, objętą w opłaka-



Kanclerz Rzeszy w Wiedniu: Książę Bülow (X) w ambasadzie niemieckiej, podczas rozmowy z ambasadorem Tschirskym (XX).

nym bardzo stanie, zajął się śp. ks. Marmo bardzo gorliwie i całą ją podniósł zarówno pod względem moralności jak dobrobytu.

Aresztowanie włamywacza.

W ostatnim kwartale roku zeszłego oraz w początku roku bieżącego popełniono — jak wiadomo — w kilku galicyjskich urzędach podatkowych



Aresztowanie włamywacza: Jan Berdecki.

kradzieże z włamaniem się, przyczem pastwą złodziei padło przeszło ćwierć miliona koron.

Między innemi w nocy z 27 na 28 lutego b. r. popełniono śmiałą kradzież w urzędzie podatkowym w Olesku, przyczem skradziono około 16.000 kor. gotówką, papiery wartościowe na 69.000 kor. i pewien zapas stempli.

Policyi lwowskiej udało się wytropić i przyaresztować czteru rzekomych handlarzy koni, którym udowodniono, że brali czynny współudział przy obrabowaniu kasy w Olesku. Nie znaleziono jednak przy nich pieniędzy, które ukrywał herszt podobnie herszt bandy włamywaczy do galicyjskich urzędów podatkowych, który tak długo wymykał się władzom bezpieczeństwa.



Redakcya na okręcie: Stacya telegrafu bez drutu na okręcie, służąca do odbierania depesz dla wydawnictwa dziennika okrętowego.

tej bandy, występujący pod nazwiskiem Jan Berdecki.

I już policya była na jego tropie, kiedy się jej ptaszek wywinął i znikł, mając zamiar wyjechać do Warszawy. Co się nie udało policyi lwowskiej, udało się żandarmowi, pełniącemu służbę na granicy brodzkiej. Ten w jednej z granicznych wsi spotkał bardzo eleganckiego jegomościa, którego wykwintne wyekwipowanie nie odpowiadało manierom. Ciężki, złoty łańcuch ze złotym zegarkiem, laska o grubej, szczerozłotej ciężkiej rękojeści i liczna inna biżuterya zwróciły uwagę żandarma, który owego tajemniczego gościa przyaresztował. Przy przeprowadzonej u niego rewizji znaleziono oprócz pewnej gotówki, papiery wartościowe w wysokości 69.000 kor.

Porównanie seryi i numerów papierów wartościowych, skradzionych w urzędzie podatkowym w Olesku, z numerami papierów, znalezionych u aresztowanego, który wedle znalezionego u niego rosyjskiego paszportu ma się nazywać Jan Berdecki i pochodzi z Lublina, upewniły żandarmeryę, że w ręce jej wpadł nielada ptaszek, bo prawdo

Wypadek aeronauty.

Przed kilku dniami na placu wojskowym pod Paryżem odbywały się wobec niezliczonych tłumów publiczności wzloty z nowymi aeroplanami, które choć zakończyły się małym wypadkiem, wykazały jednak wielki postęp w technice budowy tych statków powietrznych.



Autor ostatniej premiery: Władysław Jastrzębiec Zalewski.

Pierwszy wzbił się w powietrze znany rzeźbiarz paryski, Delagrange, który jednak przy wykonywaniu zwrotów opadł na ziemię. Następnie przedsięwziął próby słynny Henri Farman, zdobywca ostatniej nagrody w sumie pięćdziesiąt tysięcy franków. Pierwszy wzlot jego odbył się z niezwykłą sprawnością i szybkością, w przeciągu bo wiem czterech minut i dziewięciu sekund przeleciał przeszło półpięta kilometra, zataczając z zupełną łatwością nad metą i po nad głowami widzów olbrzymie koło.

Następny wzlot powiódł się mniej szczęśliwie, z powodu bowiem lekkiego uszkodzenia motoru,



Wypadek aeronauty: Rzeźbiarz Delagrange i Henryk Farman w łodzi najnowszego aeroplanu.

prawe skrzydło aeroplanu przechyliło się na bok, przerzucając cały statek powietrzny z linii poziomej na pionową. Siłą pędu aeroplanu, Farman został odrzucony w bok na dziesięć metrów. Początkowo zdawało się, iż dzielny aeronauta znalazł śmierć na miejscu, na szczęście jednak okazało się, iż poniósł tylko lżejsze obrażenia ciała, które nie przeszkodzą mu po niedługim czasie przystąpić do nowych prób.

Redakcya na okręcie.

Ciągły rozwój telegrafu, dzięki zwłaszcza wielkiemu wynalazkowi Marconiego, dzięki telegrafowi bez drutu, doprowadził obecnie do tego, iż okręty na morzu nietylko mogą wysyłać i przyjmować telegramy z lądu, ale nawet pozostają w czasie podróży w telegraficznej komunikacyi między sobą. Obecnie każdy większy okręt posiada specyalną kajutę z najkompletniejszą stacyą telegraficzną. Dzięki temu urządzeniu pasażerowie w ciągu kilkudniowej swej podróży po oceanie znajdują się w ciągłej styczności z lądem stałym, otrzymując codzień świeże wiadomości z całego świata.

Przed dwoma laty poraz pierwszy spróbowano wydać okrętowy dziennik. Obecnie zaś już około dwudziestu wielkich parostatków, kursujących między Europą a Ameryką, odbija na małej prasie swój pokładowy dziennik, z wiadomościami, podawanemi za pośrednictwem telegrafu bez drutu, który przynosi ciągle interesujące wiadomości.

Obecnie telegramy takie można wysyłać na przestrzeni przeszło trzech tysięcy kilometrów, tak iż parostatek w przejeździe z Anglii do Ameryki pozostaje w ciągłej styczności z lądem.

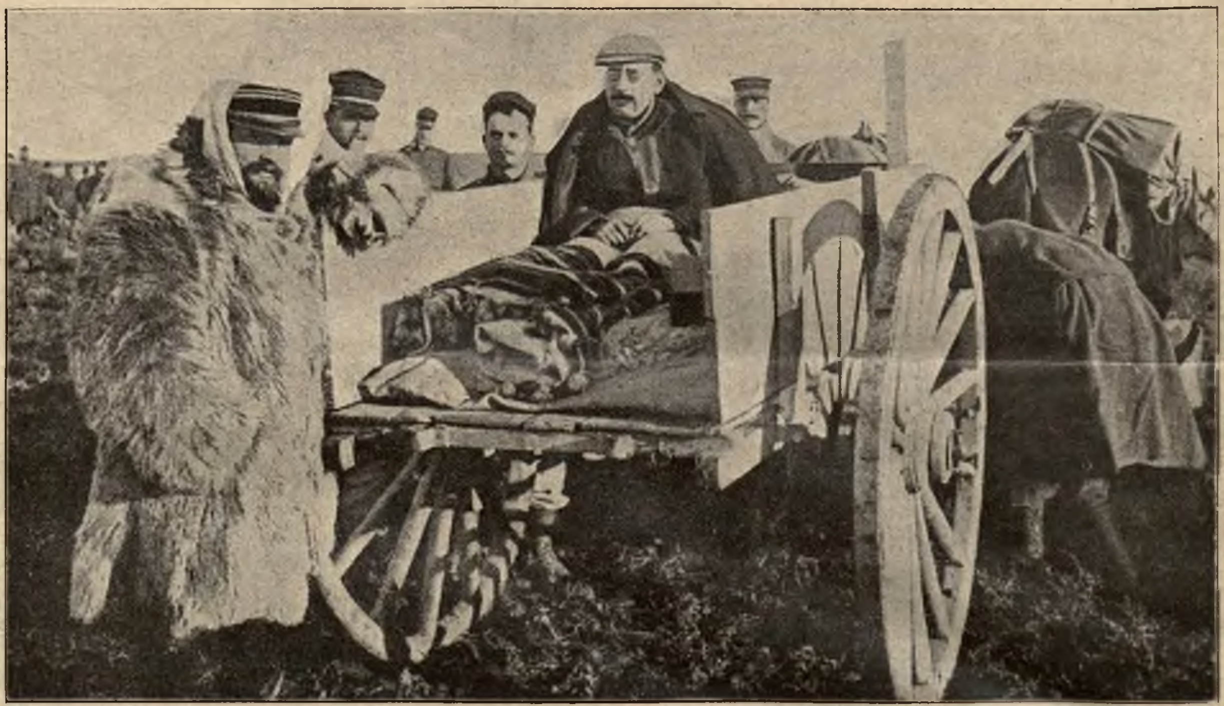
Autor ostatniej premiery.

Teatr krakowski wystawił w ubiegłą sobotę nową sztukę Władysława Zalewskiego, pt.: „Umierające perły". Utwor ten zyskał wcale duże powodzenie, dzięki kilku interesującym i dramatycznym momentom.

Autor sztuki, pan Władysław Zalewski, jest krakowianinem, mężczyzną w sile wieku, znanym już w literaturze polskiej z kilku poprzednich swych dzieł. Po raz pierwszy zdobył głośniejszy rozgłos w r. 1903, gdy jego dramat pt.: „Moloch" otrzymał zaszczytne odznaczenie na konkursie dramatycznym Wydziału krajowego. Sztukę tę grano następnie w teatrach krakowskim i lwowskim.

W roku poprzednim wystawił p. Zalewski w tearze krakowskim nową sztukę pt.: „Syzyfowe potomstwo", a obecnie poznaliśmy trzeci jego większy dramat.

Ponadto pracuje p. Zalewski jako nowelista i krytyk, mieszka zaś od lat 10 stale w Warszawie, gdzie zajmuje stanowisko urzędnika w tamtejszym konsulacie austryackim. Młody wiek a duże zdolności p. Zalewskiego uprawniają do nadziei, iż w dalszej swej działalności wzbogaci naszą literaturę niejednem jeszcze udatnem dziełem.

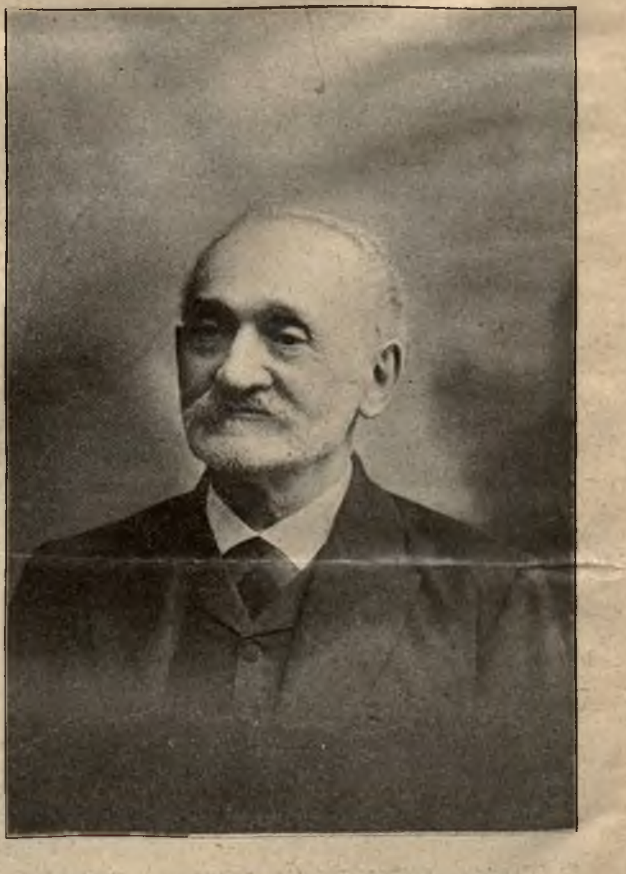


Dziennikarz ranny w bitwie: Korespondent wojenny z Paryża, raniony w potyczce z Marokkańczykami.

Spotkanie z dzieckiem.

Podczas gdy opinia publiczna zajmowała się coraz to świeżemi przygodami miłosnemi byłej księżnej saskiej a ostatnio pani Toselli, owoc pierwszego jej romansu, młodziutka księżniczka Pia Monika przez cały ten czas żyła w zupełnem zapomnieniu, w samotnej willi Habsburg, położonej koło Bregencyi. Dopiero w końcu marca br. zwrócił świat uwagę na nią, gdy król saski Fryderyk August, podróżujący incognito pod nazwiskiem hr. Hülsenburga, przybył w towarzystwie kilku osób swego dworu do Bregencyi, skąd sam udał się do willi, zamieszkiwanej przez osamotnioną księżniczkę, a jego przybraną córkę.

Przez dwa dni król pozostawał razem z nieznanem sobie dotychczas dzieckiem, chodząc z niem na spacery i bawiąc je, byle tylko przyzwyczaić do siebie. W dniu wyjazdu ks. Pia Monika odprowadziła ojca swego aż do Bregencyi, skąd król udał się w podróż do Włoch. Wkrótce księżniczka Pia Monika zostanie przewieziona do Drezna, gdzie zajmie miejsce na dworze jako księżniczka krwi.



50-lecie pracy lekarskiej: Dr. Stanisław Markiewicz.



Spotkanie z dzieckiem: Król saski Fryderyk August z księżniczką Pią Moniką, oraz jej dwiema nieodstępnemi towarzyszkami.

Złoty cielec.

Powieść wysnuta z aktów kryminalnych.

F. Łęcki.

3 (Ciąg dalszy).

Pociąg stanął w Berghausen o jedynastej w nocy i tam wsiadł dr. Schwerdtner, z czego obaj podróżni byli bardzo niezadowoleni. Stwierdzono już, że morderca ubezwładnił chloroformem obydwu towarzyszy podróży, a w jakie dwie godziny po północy morderstwa dokonał. Cios zadany był ręką wprawną, z wielkiem wytężeniem sił, szybko, śmiertelnie.

Zbrodniarz zabrał pugilares i zegarek z łańcuszkiem, zapewne dlatego tylko, aby zmylić poszlaki i nadać morderstwu znamię rabunku, albo też chciał dostać w ręce pugilares, w którym jego list był schowany.

Ani w korespondencyi bankiera, ani w jego stosunkach z ludźmi, nie można było dopatrzeć się czegokolwiek, coby posłużyło do wyjaśnienia pobudek tej zbrodni. Morderca przygotował się do niej bardzo przebiegle i niczego nie zaniechał, aby zatrzeć wszelkie ślady po sobie. Nawet z podszewki kapelusza wydarł znak firmy.

Niezawodnie, po spełnieniu zbrodni, przeszedł do innego wozu i stamtąd, w innem już ubraniu, bez owego płaszcza, bez chustki na twarzy, bez owego olbrzymiego kapelusza, wyszedł spokojnie na jakiejś małej stacyi i zniknął niespostrzeżony, niepodejrzany.

Zarówno policya, jak i opinia publiczna interesowały się tem bardzo, z jakich pobudek to morderstwo popełniono. Dr. Schwerdtner i konduktor słyszeli najwyraźniej, że Döbel z towarzyszem podróży rozmawiał bardzo poufale, że obaj do siebie przez „ty" przemawiali, ale nikt ze znajomych Döbla i nikt z jego oficyalistów nie słyszał nigdy, aby on z kimkolwiek w takim poufałym stosunku pozostawał. Przeciwnie nawet, bo aż do przesady był ceremonialnym i miał w sobie wiele pychy i wyniosłości dorobkiewicza. Nie można też było przypuszczać, żeby to było morderstwo dokonane przez zemstę, lub nienawiść, boć przecież byłby Döbel coś wiedział o tem, a bodaj przeczuwał, że w tym zagadkowym człowieku ma wroga i jego listem byłby się tak nie ucieszył.

Była więc w tem wszystkiem jakaś przerażająca zagadkowość, trudna do rozwiązania nawet dla najwprawniejszych detektywów.

IV.

Już drugi tydzień upływał doktorowi w domu barona Ellericha, a upływał nie bardzo przyjemnie, bo mu tu było nieswojsko. Raziła go zimna, wymuszona etykieta, brak mu było ciepłej serdeczności potrzebnej ludziom nie zepsutym, a szcze gólnie sierocie.

Wyobrażał sobie, że człowiek, który mu tyle dobrodziejstw wyświadczył, nie będzie mu szczędził objawów życzliwości, że go przygarnie po ojcowsku, jak ów zacny pastor opiekun z Berghausen. Baron był grzeczny, uprzejmy, ale tak zimny, sztywny, że Schwerdtner nie mógł pojąć, gdzie w tym człowieku mieści się dobre serce, do świadczenia dobrodziejstw skłonne. Im dłużej poznawał barona, tem bardziej się przekonywał, że bywają dobrodziejstwa, które się czyni nie tyle z popędu serca, ile dla próżności, dla popisu, może i dla kaprysu.

I to go bolało. Ale jakże miał baron dla niego być cieplejszym w obejściu, skoro nawet dla własnych dzieci miał tylko chłód, tylko zimne, rachunkowe niemal zaspakajanie ich potrzeb. I to Schwerdtnera wprawiało w zdumienie.

Starszy syn barona, Gwido, porucznik huzarów, rzadko pokazywał się w domu. Zimny, sztywny, zawsze jakby znudzony życiem, miał w sobie coś wprost odstręczającego. Ten nie zadawał sobie nawet tego przymusu, aby grzecznym być dla kogokolwiek.

Cała ta rodzina była dla siebie wzajem dziwnie obcą, dziwnie obojętną. Tylko uczeń doktora, czternastoletni August, był jakby z innej gliny ulepiony.

Całopczyna z sercem, zdolny, żądny nauki, łaknął ciepła rodzinnego, a że go nie doznawał ani u ojca, ani u rodzeństwa, lgnął coraz bardziej do swego nauczyciela. I to była jedyna dla Schwerdtnera przyjemność i pociecha.

Baron przysłuchiwał się niekiedy lekcyom, a przy każdej sposobności wyrażał Schwerdtnerowi zupełne uznanie.

Pewnego dnia przybył także na lekcyę, a wychodząc, rzekł od niechcenia:

— A, co ja to chciałem powiedzieć? Aha! dziś wieczorem będzie u nas przyjęcie; przyjdź pan do salonu, panie Schwerdtner, a przedstawię pana kilku wybitnym osobom, których protekcya może się panu przydać.

— Skorzystam z wdzięcznością z łaskawego wezwania pańskiego, ale nie dla szukania protekcyi, z której nigdy w życiu korzystać nie myślę.

— Bardzo to piękne, co pan mówisz, ale niepraktyczne. Późniejsze doświadczenia przekonają pana, że w dzisiejszych czasach protekcya jest największą potęgą.

— Zdawało mi się panie baronie, że jeszcze większą jest osobista wartość człowieka, jego praca i zasługa.

— Może w teoryi, ale nie w praktyce.

To rzekłszy, uśmiechnął się baron nawpół ironicznie i na odchodnem dodał od niechcenia:

— Spodziewam się, że pana w salonie zobaczę.

Schwerdtner skłonił się i nic już nie odpowiedział. Nie bardzo go to nęciło znaleść się wśród obcego świata, ale niepodobna było sprzeciwiać się baronowi, a przytem nasunęło mu się na myśl, że potrzeba mu wyjść z tego ciasnego kręgu życia, w którym się dotychczas obracał. Szkołę życia tworzy właśnie poznawanie ludzi, stykanie się z nimi, lub ścieranie.

Skoro tylko wybiła oznaczona godzina, Schwerdtner wszedł na salony, znajdujące się na piętrze. Takiego przepychu nie widział jeszcze nigdzie i to go onieśmielało. Byłby się może nawet i cofnął, gdyby nie to, że go baron spostrzegł i kilku panom przedstawił. Nie spodziewał się, że będzie poniekąd bohaterem w salonie. Skoro tylko usłyszano jego nazwisko, znane ze sprawozdań dziennikarskich o zabójstwie Döbla, tłoczono się ku niemu i zasypywano pytaniami o szczegóły tego wszystkiego, co widział i czego doznał. Gdyby mu wypadło raz tylko na liczne pytania odpowiedzieć, byłoby to nawet dla niego poniekąd spełnieniem obowiązku względem opinii publicznej, ale w miarę jak przybywały coraz inne gromady gości, ponawiały się zapytania, tak że już może po raz dziesiąty jedno i to samo opowiadać musiał.

Znudzony tem wszystkiem i zmęczony, chciał już poprostu uciec z tego tłumu ciekawych, gdy nagle ukazał się nowy gość i w mgnieniu oka wszyscy ciekawscy, co otaczali doktora — posunęli się ku przybyłemu. Schwerdtner odetchnął i chciał wyszukać sobie jakiś kąt wygodny, z którego mógł swobodnie przypatrywać się towarzystwu, sam niespostrzeżony. Zaledwie postąpił dwa kroki, zatrzymał go jakiś młody, sympatyczny człowiek.

— Przepraszam, że pana zatrzymuję. Doktor Rümmel. Niech się pan nie lęka, nie będę pytał o szczegóły morderstwa. Zdaje mi się, że pan woli obserwować, niż być obserwowanym. Nieprawdaż?

— Zwłaszcza w tej chwili, zmęczony tą inkwizycyą, radbym istotnie znaleść się gdzieś na uboczu.

Tymczasem w salonie formalnie tłoczono się pobliżu nowoprzybyłego gościa. I słychać było szeptem powtarzane:

— Snovard, Snovard!

— Kto to jest? — zapytał Schwerdtner.

— I pan ma odwagę przyznać się, że go pan nie zna? — odpowiedział, śmiejąc się Rümmel. Ach! ta filozofia, jak ona swoich synów zaślepia. Każe im szukać prawd w niezmiernych przestworzach myśli ludzkiej, wpatrywać się w słoneczne blaski geniuszów, a odwraca ich oczy od słońc dzisiejszego świata.

Schwerdtner nie zrozumiał tego żartu i ze zdziwieniem spojrzał na Rümmla.

— Mój doktorze, czemu mi się pan tak przypatrujesz? Może się to panu wydaje zbyt allegoryczne, no to powiem panu prozą zwykłych śmiertelników: ten pan to słońce Berlina i królestwa bojaźni Bożej, czyli całych Prus, wraz z Brandenburgią i innemi dzierżawami dynastyi Hohenzollernów. Jest to wielki Snovard.

— Wyraziłeś się pan tak ironicznie.

— Zdaje mi się, że na tę ironię i pan się zgodzi. Proszę posłuchać. Przybywa przed dwoma miesiącami do Berlina jakiś zagadkowy Amerykanin i w tym krótkim czasie nabiera takiego rozgłosu, że jego nazwisko powtarzają ludzie częściej, niż wzywają Pana Boga, że wszelkie ekscelencye cywilne i wojskowe biją mu pokłony, że giełda pozostaje pod wpływem jego skinienia, że oto tu w salonie orderami lśniące fraki i mundury wyprzedzają się w powitaniu tego potentata.

— I skądże ten urok, to znaczenie tego człowieka?

— Pan o tem nie wie? To dziwne. Snovard posiada sto pięćdziesiąt milionów majątku; proszę pomyśleć, sto pięćdziesiąt milionów. Ja ich nie liczyłem wprawdzie, ale tak głoszą kapłani, czy apostołowie złotego cielca.

— I tylko ten majątek nadaje mu taką powagę, zjednywa takie znaczenie, takie poważanie?

— Jak pan widzi.

— Trudno wierzyć.

— Pan należy jeszcze do dawnej, przeżytej epoki wyobrażeń, pan jakoś po staroświecku zapatruje się na życie.

Schwerdtnera zajęła bardzo i ożywiła wesoła ironia dr. Rümmla, wpatrywał się w niego ciekawie. Był to człowiek młody, liczący około lat trzydziestu. Pięknie zbudowany, o postawie okazałej, ruchy miał pełne spokoju, użycie salonowe. Twarz wyrazistą owiewał cień smutku, chociaż na ustach igrał swobodny uśmiech; zdawało się, że ten człowiek żami własnemi się rozkoszuje. Myślące, bystre oczy patrzyły śmiało, może nieco wyzywająco.

Schwerdtner powziął ku niemu sympatyę i rad go słuchał.

— Dlaczego pan wydał tak srogi na mnie wyrok, nazywając mnie staroświeckim człowiekiem?— zapytał żartobliwie Schwerdtner.

— Przypatrywałem się panu, a umiem dobrze przypatrywać się ludziom.

— Z mej powierzchowności zdołał mnie pan osądzić?

— Z pańskiego zachowania się, z pańskiego postępowania w tym tłumie... neofitów.

— Neofitów? Tego to już nie rozumiem.

— Ależ to przecie jasne. Ci ludzie zmienili wiarę w ideały niemieckie, na bałwochwalstwo pruskie.

Schwerdtnera to ubodło, był wszakże Prusakiem, więc spojrzał na Rümmla z lekkiem zakłopotaniem. Rümmel spojrzenie zrozumiał i uśmiechnąwszy się pobłażliwie, mówił z większem ożywieniem:

— A, dziwi się pan, że mówię o pruskiem bałwochwalstwie. Proszę nie brać mi tego za złe, i ja jestem Prusakiem, równie jak pan, ale obaj jesteśmy przedewszystkiem Niemcami — a tylko przypadek zrządził, żeśmy się urodzili i wyrośli w tej części niemieckiej ojczyzny, która jest cieniem Niemiec, a nie światłem. Proszę pana cofnąć się wstecz o pół wieku. Niemcy były wtedy niemieckie i pod wielu względami przodowały Europie. Do naszych uniwersytetów zbiegała się młodzież wszelkich narodów, bośmy mieli znakomitych uczonych; u nas uczono się sztuki, ładu, porządku, sprawiedliwości. Nasza literatura ożywiała inne, nasza filozofia podbijała umysły całego świata. Ceniono nas, szanowano, po części może i słuchano. Byliśmy potęgą duchową, cywilizacyjną i cywilizatorską, i nie krzywdząc nikogo, nikomu nic nie odbierając, panowaliśmy ideałami nad połową Europy. Nie mieliśmy nieprzyjaciół, otaczały nas przyjaźń, lub bodaj poszanowanie sąsiadów. A dziś?... Dziś jesteśmy tylko postrachem ludów; nienawidzą nas jedni, pogardzają nami drudzy, chociaż wszyscy się nas boją. Niemcy straciły dawne światło swego geniuszu, padł na nie cień prusactwa. Zamiast sławy uniwersytetów, mamy sławę koszar; nikt do nas po naukę nie pospieszy, bo czegóż się tu nauczy? Bałwochwalstwa dla złotego cielca, czci dla „pikielhauby", uświęcenia rozboju przez prawo, pychy dorobkiewiczów, urągania temu, co poprzednim pokoleniom było ideałem dziejowym. Nasi uczeni wielbią dziś siłę przed prawem, zalecają nam, abyśmy słabszym narodom rozbijali czaszki. Ej, panie doktorze, a toćby głowa pękła ze wstydu, a serce z żalu, gdyby nasi wielcy powstali z grobu i spojrzeli na dzisiejsze Niemcy. Dawniej Prusy należały do Niemiec, i my Prusacy karmiliśmy ducha niemieckimi ideałami; dziś Niemcy należą do Prus i przepadły ideały niemieckie, a zapanował kult dla wszelakiej siły, czy ona lęgnie się w bagnetach, czy w milionach amerykańskiego awanturnika, czy w zakręconych do góry wąsach sierdzistego.. kaprala. Przed pół wiekiem przyjmowanoby z taką uniżonością w salonach chyba jakiego wielkiego filozofa, poetę, a dziś bije się tu czołem przed... bankierem. Oto panie nasz neofityzm. Dawniej tworzyli epoki cywilizacyi wielcy myśliciele, dziś tworzy je złoto. O, ten Snovard utworzy nową epokę — tak powiadają,

tak piszą dzienniki wszelkich odcieni politycznych. On nowe drogi żelazne zbuduje, utworzy nowe instytucye finansowe, zbogaci Berlin, całe Prusy, może Niemcy całe. Tańczą też koło niego, hołd złotemu cielcowi składają. Czy tam kto nóg nie połamie w owym tańcu, tego nie wiem, ale szyję dam w zakład, że Snovard ich nie złamie.

— Satyra gorzka, ale...

— Ale zasłużona? co?

— Nie jestem takim pesymistą. Nowe czasy rozwinęły nas ekonomicznie; wzrósł przemysł, handel, spotężniały miasta, wzrosło polityczne znaczenie...

— Tak, tak. Rozrosło się ciało, ale dusza poszła spać. Wzrosła cywilizacya materyalna, zanikła kultura duchowa. Jesteśmy jak Rzym przed upadkiem. „Augur śmieje się z augura", a żyć i użyć, deptać i poniewierać słabszych, gdy się jest silnym; w miejsce Boga mości, czcić złotego cielca i pałkę, oto wiara niemiecka dni naszych, zaszczepiona przez Prusy.

Zamilkł Rümmel, zamyślił się Schwerdtner, aż westchnął lekko i rzekł smutnie:

— Może to i prawda!

— Ale co tam; my nie zmienimy tego, zmieni bicz Boży. Teraz jeszcze o tym panu Snovardzie. Otóż ten człowiek rzuca na giełdę krocie, ot, tak, dla zabicia czasu, pomiędzy śniadaniem i obiadem. Jednem posunięciem pióra tworzy fabryki, wzbogaca przemysł. Przerzuca milionami z taką swobodą, jak biegły gracz kartami za zielonym stolikiem. Jest mistrzem w poszukiwaniu złota... w cudzych kieszeniach.

— Zapewne zasłużył na zaufanie?

— Mają go za łotra, ale ufają jego szczęściu, jego sprytowi.

— Jakto, nawet ludzie tak poważni, jak baron?

— I baron. Potrzebuje opieki takiego potentata finansowego, więc... widziałeś pan, jak mu nadskakuje.

Istotnie. Baron ujął Snovarda pod rękę i z uszanowaniem, nawet z dumą, prowadził go w tę część salonu, gdzie dystyngowane panie usiadły. Schwerdtner przypatrzył się teraz królowi milionów.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, suchy, kościsty, wyprostowany, sztywny. Ruchy jego spokojne, wymierzone, miały w sobie coś mechanicznego. Sprawiał wrażenie poruszającego się na sprężynach manekina. Twarz starannie wygolona, pergaminowa, miała rysy, jakby z kamienia wykute. Oczy patrzyły zimno, spokojnie, przenikliwie; na ustach igrał uśmiech pogardliwy. Wyglądał na człowieka, liczącego około pięćdziesięciu lat życia, ale taka to była twarz zasuszona, iż możnaby sądzić, iż przez lat dziesięć nie zmieniała się wcale i że się nie zmieni po dziesięciu latach. Ubrany był Snovard w czarny frak, bez żadnych orderów, wstążeczek i tem się różnił od tych, co go otaczali.

Schwerdtner doznał wrażenia wprost wstrętnego na widok tego człowieka.

— Jakże się panu podoba? — zapytał Rümmel.

— Ten człowiek tak wygląda, jakby miał serce z piersi wyprute — rzekł Schwerdtner ze smutkiem i odrazą.

— Takich tu znajdzie się wielu, tylko że Snovard ma wyprute serce, a inni wyprute mózgi. No, chodźmy doktorze, przypatrujmy się temu tłumowi, co ma pierś wykutą nie przez Fidiasza.

Przesuwali się zwolna, patrząc na falę mundurów i fraków, świecących orderami, na wykwintne, brylantami nasiewane kobiety. Wszędzie uśmiechy zadowolenia, może kłamanego; wszędzie pogoda lub wesołość na twarzy, choćby tam w głębi duszy wił się robak smutku. Salon! Tyle elegancyi, tyle wykwintu, tyle bogactwa, tyle słodkiej uprzejmości! A czy poza tem jest prawda i szczerość? Salon powinien być najwonniejszym kwiatem kultury; tem być powinien, to mu się należy, a czy nim był istotnie salon barona Ellericha?

Takie spostrzeżenia i myśli snuły się po głowie Schwerdtnera. Rümmel zburzył mu ideały; co sobie wyobrażał, w co wierzył, to mu się wydało teraz złudzeniem. Z zamyślenia wyrwał go Rümmel.

— Baronówna Elwira promienieje, króluje — patrz pan na prawo — rzekł Rümmel. Widzisz doktorze, jak do niej ciśnie się tłum i starych i młodych. Ile to sypie się w tej chwili nieszczerych słów pochlebstw i uwielbienia. Tak wypada, nie prawdaż? Za przyjęcie, za obfity bufet trzeba się wywdzięczyć. Czy pan nie przysunie się do niej? Wszakże należałoby zbliżyć się i także jaki komplement powiedzieć.

— Nie umiem tego i zapewne nie prędko się nauczę.

Tak powiedział, ale spojrzał z zaciekawieniem na baronównę. Uśmiechnięta była i zadowolona, tryumfująca. Na ten widok doznał przykrego wrażenia, a nie umiał sobie wytłómaczyć, skąd ono właściwie się wzięło. Zamajaczyły mu się po głowie wspomnienia z lat chłopięcych, czytana bajka o aczarowanej księżniczce, powóz, w którym baronowa z uroczem dziewczątkiem jechała.

Nie kontent z samego siebie, chciał się zwrócić w inną stronę, gdy właśnie przecisnął się do Elwiry baron Ellerich, idący pod ramię ze Snovardem.



Baron ujął Snovarda pod rękę i z uszanowaniem poprowadził.

Snovard widać coś bardzo miłego jej powiedział, bo uśmiechnęła się do niego z takim wdziękiem i zadowoleniem, jak przedtem do nikogo. I to Schwerdtnera znowu dotknęło. Ta zaklęta księżniczka z bajki wdzięczy się nie do jakiegoś uroczego królewicza, tylko do bankiera.

— Że piękna z niej kobieta, to wątpliwości nie ulega — szepnął mu za plecyma Rümmel — ale zdaje mi się, że u niej serce z marmuru. Niema mężczyzny, któryby bez wrażenia patrzył na jej uroczy uśmiech, ale też niema takiego, któryby mógł spodziewać się, że jej miłość zdobędzie.

W tej chwili nowy ruch w salonie. Mężczyźni cisną się ku drzwiom głównego wejścia, z przyległych salonów spieszą również. Schwerdtner nie oglądając się na towarzysza, machinalnie ku drzwiom się posunął, a Rümmel za nim pospieszył. U wejścia witano jakiegoś nowego przybysza.

— To minister skarbu — szepnął Rümmel.

— Okazała postać.

— O, tak! i rozum okazały. Stanowisko jego było nieco zachwiane, więc postanowił je utrwalić przez korzystne operacye finansowe. Do tego trzeba mu poparcia bankierów, dygnitarzy różnych instytucyj finansowych. To rzecz zupełnie jasna i powszechnie znana, boć tak zawsze czynić muszą ministrowie skarbu. Dawniej miewał z baronem Ellerichem stosunki wcale chłodne, ale od owego czasu, kiedy baron został prezydentem rady nadzorczej banku krajowego, stosunki te zmieniły się zupełnie i teraz jego ekscelencya, pan minister skarbu jest wielkim przyjacielem barona.

— Jakto? Więc i baron Ellerich bierze udział w operacyach finansowych?

— Zdaje mi się kochany doktorze, że pan do Berlina spadłeś wprost z księżyca. Baron nietylko bierze udział w operacyach finansowych, ale niekiedy nawet niemi kieruje, chociaż tylko według rozkazów Snovarda. Ale, ale. Spojrzyj no pan na lewo. Widzisz pan tego człowieka małego, grubego, z nogami wygiętemi? Niepozorny człowieczek, prawda?

A to panie milioner, potentat tak wielki, że nawet Snovard z nim się musi liczyć. Miał on wprawdzie różne kłopoty sądowe; coś tam mówiono o jakich nieporozumieniach, które my w codziennem życiu oszustwem nazywamy, ale w języku milionerów nazywa się to tylko nieporozumieniem. No i nieporozumienie się wyjaśniło, sąd zaniechał sprawy, a tylko złośliwcy ośmielali się pokątnie wykrzykiwać. Tak, tak panie. Dzisiejszy wieczór to przyjęcie w świetnych, lśniących salonach, jest nabożeństwem do złotego cielca.

Te szyderstwa zaczęły już męczyć Schwerdtnera. Uczuł niesmak, a nawet żal powziął do tego człowieka, co go tak dręczył złośliwym pesymizmem.

Kłębiło mu się w głowie, pragnął chwili spokoju, żeby zebrać myśli i bez uprzedzeń zdać sobie sprawę z tego, co tu widział, co się tu działo. To też ucieszył się bardzo, gdy Rümmla zagadał jakiś jego znajomy i zatrzymał przy sobie. Skorzystawszy z tego, wysunął się prędko do bocznego salonu. Ale i tu natłoczono było i gwarno, więc przeszedł do następnego apartamentu, oddzielonego ciężką, aksamitną portyerą. Na swoje szczęście nie zastał tu nikogo. Były tam stoliki do gry przygotowane, za którymi nikt jeszcze nie siedział.

Schwerdtner odetchnął prawdziwie, a znużony rzucił się na sofę, w kącie stojącą, i w spokoju pragnął zebrać myśli.

Z przyległych salonów dolatywał gwar rozmów, niby szum wodospadu, niby turkot kół. Doktor przywykły wcześnie zasypiać, senny był teraz i postanowił czemprędzej do łóżka się położyć. Ale na tej sofie tak mu było wygodnie, że jeszcze chwilę chciał odpoczywać, zanim pójdzie do swego pokoju. Gwar, dolatający jego uszu, zaczął go usypiać. Nie zasnął wprawdzie zupełnie, ale wpółsenny zatonął w rozmarzeniu i zaczęły mu się nasuwać świeże wspomnienia, zaczęły się odnawiać wrażenia dni ostatnich i dzisiejszego wieczora. Nagle wśród gwaru rozmów usłyszał głos, który go odrazu rozbudził. Zerwał się ze sofy, nadsłuchuje, ale już ten głos utonął w gwarze. Dziwne przywidzenie. Zdawało mu się, że to głos mordercy Döbla, owego towarzysza podróży, co twarz tak starannie osłaniał.

— Ot, przywidzenie — rzekł sam do siebie. Cóż znowu? Skądby się tu wziął morderca wśród milionerów i wszelakich dostojników.

Chociaż taka mu się nasunęła refleksya, przecież rozsunął portyerę i spojrzał do pokoju, z którego ten głos go doleciał. Stał tam baron Ellerich i rozmawiał ze Snovardem, a obok była gromadka bardzo poważnych i niemłodych mężczyzn. Zobaczywszy to uspokoił się zupełnie i śmiał się w duszy ze swoich przywidzeń.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Rosyjska emancypantka.

Ze wszystkich narodów europejskich rdzenna ludność Rosyi stanowi może najbardziej zachowawczy pierwiastek, wrogi wszelkim innowacyom.

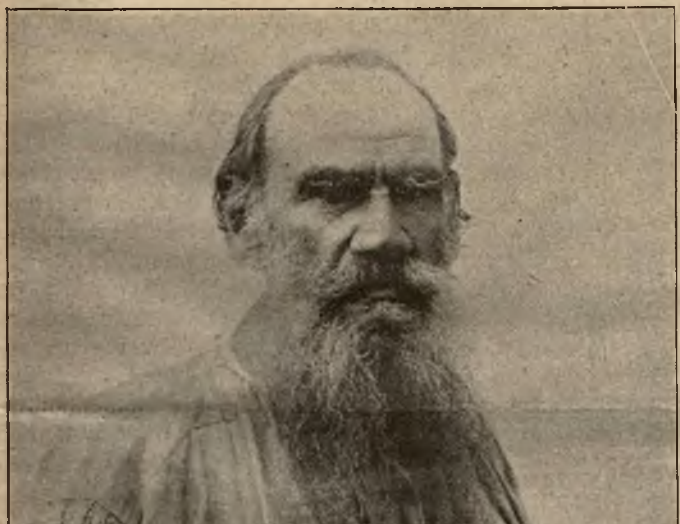


Rosyjska emancypantka: Kobieta »izwoszczyk« w Moskwie.

Nowoczesne prądy, choćby hołdowała im cała ludzkość, nie znajdują jeszcze posłuchu wśród niższych sfer ludu rosyjskiego, który pogardliwie nazywa je „zapadnim bezobrazjem", czyli zachodnim bezsensem.

Jedyny tylko, ze wszystkich idei nowoczesnych, feminizm oraz walka kobiet o byt, przyjmują w Rosyi dość realne formy, utorowały sobie tam drogę i zdobywają zwolenników nawet pomiędzy uboższą ludnością wielkich miast.

Za pewien dowód tego może służyć udział kobiet rosyjskich w pracy, którą do niedawna zajmowali się tylko mężczyźni, n. p. powożenie dorożkami. Przed kilku dniami na ulicach Moskwy ukazały się dorożki, w których na koźle siedziały przebrane w typowy strój rosyjskiego „izwoszczyka" kobiety. Początkowo stawały przy nich gromady ludzi, przyglądając się ciekawie takiemu „bezobrazju", powoli jednak ludność przyzwyczaiła się do nich i kobiety-dorożkarki mają obecnie większy popyt niż ich męscy koledzy.



Pogromca Tołstoja: Lew hr. Tołstoj.

Pogromca Tołstoja.

Parlament wiedeński był w ostatnich latach niejednokrotnie widownią brutalnych scen i kompromitujących niektórych posłów zajść. Padały tam obelgi na ludzi bardzo zasłużonych, słyszało się wyrazy, zwyczajne w ustach ludzi niekulturalnych, ale niewłaściwe dla wybrańców ludu, przychodziło nawet do bójek.

Nic więc ostatecznie dziwnego, że w tym parlamencie znalazł się człowiek, który mógł rzucić obelgę na genialnego pisarza rosyjskiego, Lwa Tołstoja.

Było to w komisyi legitymacyjnej. w czasie dyskusyi weryfikacyjnej, z powodu starcia między socyalistami a chrześcijańsko - socyalnymi. Gdy mianowicie poseł Pernerstorfer zacytował zdanie Tołstoja, że prawie każdy porządny człowiek siedział w więzieniu, chrześcijańsko - socyalny poseł Bielohlavek, wybitna w tem stronnictwie figura, członek wydziału krajowego w Dolnej Austryi, wyraził się, iż Tołstoj jest starym durniem.

Zajście to w komisyi legitymacyjnej, odbiło się następnie echem w pełnej Izbie. Odprawę mianowicie, bardzo ciętą i dowcipną, dał naprzód posłowi Bielohlavkowi poseł Daszyński w czasie mowy w sprawie kontyngentu rekruta. Pos. Bielohlavek przerywał kilkakrotnie Daszyńskiemu, a wówczas ten zapytał Bielohlavka, czy prawdą jest, iż nazwał Tołstoja starym durniem. Gdy zapytany odpowiedział potakująco, pos. Daszyński zawołał:

— Pan się tem tylko różnisz od podanej przez się charakterystyki, że nie jesteś starym, lecz młodym durniem.

Cięta odpowiedź posła Daszyńskiego wywołała powszechną wesołość w Izbie.

Poważniejszą satysfakcyą dla znieważonego Tołstoja była manifestacya na poniedziałkowem posiedzeniu Izby posłów. Skutkiem zapytania do



Pogromca Tołstoja: Herman Bielohlavek

prezydyum Izby, wystosowanego przez posła staroruskiego, dr. Hlibowieckiego, który w ostrych słowach napiętnował nietaktowne odezwanie się pos. Bielohlavka, prezydent dr. Weisskirchner potępił wśród oklasków poselskich tego rodzaju gorszące wybryki niektórych posłów i dał wyraz ubolewaniu z tego powodu.

Praktyczny aparat.

W przedmieściu Berlina, Rixdorfie, wprowadzoną została niedawno bardzo praktyczna nowość, której użyteczność nie ulega najmniejszej wątpliwości. Oto urządzono tam w rozmaitych stronach miasta aparaty, służące do zgłaszania pożarów na strażnicy ogniowej.



Praktyczny aparat: Aparat do zgłaszania pożaru, znajdujący się w Rixdorfie pod Berlinem.

W razie tedy wybuchu ognia w mieście, policyant nie potrzebuje szukać prywatnego telefonu, co zwłaszcza w nocy jest bardzo utrudnione, lecz udaje się do najbliższego aparatu i za jego pośrednictwem zawiadamia straż pożarną o wypadku.

Aparaty te są zbudowane bardzo pojedynczo, a istotną część ich stanowią telefony, zasłonięte w zwyczajnych warunkach odpowiednio urządzoną klapą. Za pociśnięciem guzika, umieszczonego na widocznem miejscu, klapa się otwiera, odsłaniając równocześnie aparat telefoniczny.

Z TYGODNIA

Byłem na wiecu w Ujeżdżalni. Widzę, jak się uśmiechacie i mówicie: a to się wybrał, a to amator kwaśnych jabłek i... hańbowania. A ja wam na to odpowiem: żałujcie, żeście na tym wiecu nie byli. Bo był to, prawda, wiec, był w Ujeżdżalni, było na nim kilkuset robotników, ale nie było hańbowania. Przeciwnie, panował na nim nastrój uroczysty, patryotyczny. A może myślicie, że to był wiec robotników „w sieci obskurantyzmu pochwyconych?“ I to nie — owszem — gdzie oko zwróciłeś, wszędzie mogłeś dojrzeć „towarzyszy“. Może nie była ich przewaga, ale połowa z pewnością. Nikt zresztą nie pytał się, jakiego kto wyznania politycznego, żadne specyalnie stronnictwo nie wysyłało na ten wiec swych szeregowców, bo był to wiec zwołany przez tych, co głośno wołają: wierzcie, w co chcecie, walczcie, w jakim chcecie obozie, bylebyście swój kraj kochali i dobro jego stawiali na pierwszym planie. Słowem: był to wiec „Straży Polskiej“.

Urządziła go Straż w rocznicę Racławic. Sądziła, że wobec ciosów, jakie świeżo na nas spadają, rocznicę tę należy obchodzić nie wieczorkiem, muzyką, śpiewem, deklamacyą, to jest przyjemnem spędzeniem czasu, ale należy ją uczcić przez wspólne rozmyślanie o potrzebach społeczeństwa, o obronie pokojowej narodu. Więc prezes „Straży“ red. Bartoszewicz mówił o znaczeniu Racławic, o położeniu politycznem narodu, o celach i zadaniach „Straży“. Po nim przemawiali: prof. M. Magiera o obowiązkach narodowych i o potrzebie rugowania przemysłu obcego — i dr. Wróbel, podnoszący w swem przemówieniu główne momenty insurekcyi Kościuszkowskiej. Wszyscy ci trzej mówcy znani są w Krakowie, więc wy, szanowni czytelnicy Krakowianie, wiecie dobrze, jak mówili, a wam niekrakowianom musi wystarczyć, że mówili płynnie, ciepło, że umieli wywołać poważny i serdeczny nastrój w zgromadzeniu. Nie sztuka im zresztą mówić i nie pierwszyzna, więc nie będę im śpiewał hymnów pochwalnych. Ale zaśpiewam go innym mówcom: rzemieślnikowi i robotnikowi, którzy zabrali głos w dyskusyi. Co za swada, jaki zapał! Kiedy p. Ligęza, stolarz krakowski, powiedział: „przyszliśmy tu dla sprawy narodowej, zawołano nas do narady nad obroną tego, co nam najdroższe — a jednak nie widzę tu ani tych, co rządzą miastem, ani profesorów uniwersytetu, ani kupców — gdzież się podzieli? gdzie ich miłość kraju? gdzie miłość naszych ideałów?“ cała sala zabrzmiała od oklasków. I brzmiała dalej, kiedy potępiał apatyę, słomiany ogień, „patryotyzm w gębie“, kiedy oddawał cześć założycielom „Straży Polskiej“, kiedy z zapałem wzywał wszystkich, aby szli w jej szeregi. A po nim wstąpił na mównicę p. Grochal, robotnik fabryczny, idący prosto od pracy, z twarzą spaloną od ognia, poczernioną od dymu. Głosem tubalnym, jakby uderzeniami siekiery, zaczął mówić o wyzysku robotnika — wśród słuchaczy powstała obawa dysonansu — ale p. Grochal utrzymał na wodzy swe warstwowe uczucia i w imieniu robotników zaręczył, że dobro całości leży im na sercu, że kochają ziemię rodzinną, są gotowi dla niej nieść ofiary, że pojmują wreszcie zadania „Straży“ i staną przy niej wiernie. Efekt tych słów był znakomity, stały się one godnem uwieńczeniem wiecu. Przemawiał jeszcze gorąco jakiś młodzieniec. I złożyła się sama przez się pewna całość, o jakiej nie myślał nawet komitet wiec zwołujący. Te same myśli, te same uczucia, ten sam program pracy narodowej głosili kolejno: reprezentant dawnej, czysto polskiej (nie koteryjnej, nie małomiasteczkowej) demokracyi, reprezentant stanu nauczycielskiego, reprezentant urzędników, przedstawiciel rzemieślników, przedstawiciel klasy robotniczej i reprezentant młodzieży. To też śmiało mógł przewodniczący zamknąć wiec stwierdzeniem, że panowała na nim miłość i zgoda, że unosił się nad nim duch jedności narodowej.

I to wszystko było (spytacie) w Ujeżdżalni? w tej Ujeżdżalni, której tak się boją zarówno demokraci krakowskiego chowu jak konserwatyści? Tak, w tej Ujeżdżalni. Jestto zapowiedź, że się tworzy coś nowego, że jakieś świeże powietrze zaczyna napływać do siedliska stęchlizny, że dawne ideały budzą się i stają wpoprzek polityce karyer osobistych.

Charakterystyczną rozmowę miałem po wiecu. Przystąpił do mnie robotnik i tak wypowiadał się ze swych wrażeń: „Kiedy przemawiał pierwszy mówca, podejrzywałem go, że jest wszechpolakiem — kiedy mówił drugi, sądziłem, że coś tu pachnie centrowcami — trzeci robił na mnie wrażenie ludowca, ale teraz po wiecu, biorąc wszystko w kupę, widzę, że to byli szczerzy Polacy, a nie partyjni agitatorzy. Tak, tak, panie, trzeba nam iść razem, bo nam coraz gorzej...“

Że coraz gorzej, to prawda. W dniu, w którym wiec się odbywał, parlament niemiecki uchwalił nową ustawę o zgromadzeniach, a w niej ów ohydny § 7, który większej części Wielkopolan odebrał prawo przemawiania w języku ojczystym na zgromadzeniach. Kiedy go rząd niemiecki przedstawił, wybuchło w parlamencie oburzenie: większość stanowczo oświadczała się przeciw niemu. Wolnomyślni głośno wołali, że nie sprzeniewierzą się swym zasadom. Ale od czego łapówka? Ten i ów dostał tytulik, a wszystkim zrobiono ustępstwo co do gry na giełdzie zbożowej. Haniebną tę grę ograniczyły ustawy w imię etyki — obecnie dano etyce w łeb, dozwalając na „handel terminowy zbożem bez ograniczeń“. Byle Polaków zdusić, niech się wolnomyślni Niemcy oszustwem bogacą, lub niech się niszczą. Taka łapówka zresztą to żadna nowość, kiedy władza chce coś przeprowadzić. Wszak i w naszych małych bagienkach łapówki „moralne“ (?) są na porządku dziennym: one tworzą „zasady“, one łączą ze sobą najzawziętszych przeciwników politycznych, one umieją ze zaśniedziałego konserwatysty w 70 roku życia zrobić *à la minute* demokratę, a bojownika socyalizmu przedzierżgnąć w konserwatywnego baranka. Ot! komedya!

Jedna z takich komedyj, zwana wyborami do rady miejskiej krakowskiej, ukończy się, zanim wyjdzie dzisiejszy numer „Nowości“. Chwała Bogu! Trzy lata będziemy mieli wolne od wyborów — dopiero za trzy lata Europa znowu na nas „patrzeć będzie“. Bo kto czyta dzienniki krakowskie, ten nabiera przekonania, że losy świata, a conajmniej wielkich zasad zależą od tego, kto zasiądzie na drugiem piętrze b. pałacu Wielopolskich, kto będzie mógł rozstrzygać, jaki jest lepszy bruk: kostkowy czy asfaltowy, na której ulicy postawić budynek szkolny, jaki „dodatek aktualny“ przyznać temu lub owemu urzędnikowi, jaką naznaczyć taksę dorożkom i kominiarzom, gdzie posadzić drzewka, którą parcelę kupić, a którą sprzedać, kto ma mieć pieczę nad konsensami, lub siedzieć za darmo w loży komisyi artystycznej. Są i ważniejsze, grubsze sprawy, ale wszystkie one nie wychodzą poza zakres gospodarki miejskiej, a nigdy nie wkraczają w kwestyę zasad. A przecież wybieramy tylko „mężów zasad“, tylko o zasady (!) toczy się walka. Stare dzieci mają zabawkę, a sprytne dzieci łowią rybki w tej mętnej wodzie. I każą nam wierzyć, że jeżeli nie Europa, to cała Polska czekała na to ze drżeniem, czy p. Bobilewicz zostanie radcą miejskim, że wybór p. Margulliesa, wiceprezesa kahału, to zwycięstwo polskiej demokracyi, równające się conajmniej zwycięstwu Sobieskiego pod Wiedniem.

To ostatnie zwycięstwo ma przypomnieć Wiedniowi obchód jubileuszu cesarskiego. Proponowany jest wielki pochód tryumfalny, w którym ma się ukazać Jan III. z polskimi dowódcami. Nie wiem, jak wy się na to zapatrujecie, szanowni czytelnicy, ale co do mnie, ten Sobieski w pochodzie tryumfującym razi mnie i boli. Nie wiem, z jakiej polskiej głowy wyszedł ten pomysł, ale wiem, że to głowa do pozłoty, niemająca wyobrażenia o godności narodowej.

Jedni wyobrażenia o niej nie mają, a drudzy w obronie jej wpadają w dziką przesadę. Ale nie u nas. Zaszczyt ten należy przyznać Niemcom wiedeńskim. Czesi chcą urządzić w Wiedniu kilka przedstawień teatralnych — czy komu obdarzonemu rozsądkiem... na myśl przyjśćby mogło, aby to ubliżało godności niemieckiego Wiednia? A jednak zanosi się na grubą awanturę. Radykali niemieccy grożą skandalem. Wiceburmistrz Neumeyer obiecał im, iż przedstawienia czeskie udaremni. I to mają być przedstawiciele kulturalnego narodu!

Ba, ba, jaki on kulturalny! — niech się osioł schowa. Oto wyszedł spis książek, zakazanych przez radę szkolną w Cieszynie na podstawie referatu p. Armanda Karella. Warto zobaczyć, jakie polskie książki są zakazane w bibliotekach szkolnych. Oto np. najzacniejszej Klementyny Hoffmanowej „Powiastki i komedyjki moralne“ są zakazane dla scen miłosnych i dla takich wyrażeń, jak „panny to istne czorty“, lub „wszystko do góry nogami“ (pfe! co za nieprzyzwoite wyrażenie!). W Kraszewskiego „Dziecięciu starego miasta“ są wyrażenia „bezduszne bydlęta“, „zwierzęta pozbawione serca“ — więc precz z Kraszewskim. W Dygasińskiego „Beldonku“ przychodzi „psiawiara, psiadusza, psianoga“ — więc precz z Beldonkiem. To obrona moralności — ale p. Armand Karell broni i austryackiego patryotyzmu. Oto w „Listach Jana III.“ jest mowa o niewdzięczności cesarza Leopolda — wynoś się więc Sobieski ze swymi listami. W „Obronie Wiednia“ autor twierdzi, że „cesarz z całą rodziną uciekł z Wiednia od wielkiego strachu“ — jest to wprawdzie fakt historyczny, ale przytaczanie takich faktów to straszna nielojalność! A przedewszystkiem trzeba szanować Niemców, a tu Przyborowski w „Chrobrym“ pisze, że „Otton wlókł się jak żaba“, a Dygasiński w „Robinsonie polskim“ pozwolił Niemcowi „napluć w oczy“. Sienkiewicz znowu w nowelli „Za chlebem“ uprawia „jednostronność narodową i wyznaniową“. Nietylko zresztą polskich autorów dosięgła cenzura p. Armanda Karella. Światowej sławy utwór Beecher-Stowe „Chata wuja Toma“ wyrzucony został z bibliotek szkolnych za opisy „nieludzkiego postępowania“ — tenże los spotkał słynne, wspaniałe „Bajki“ Andersena za „znieważenie godności królewskiej“.

Poprzestaję na tych cytatach, boć już ich dość chyba, aby zawołać: o Armandzie Karellu! o głupoto nieograniczona! A ten pan Armand, to nie byle kto — to cesarski radca i dyrektor seminaryum nauczycielskiego. — Szanowna redakcyo „Nowości!“ Postaraj się o portret tego męża — niech świat wie, jak wygląda ten krzewiciel moralności, ten obrońca młodzieży przed zarazą ze „złych“ książek płynącą.

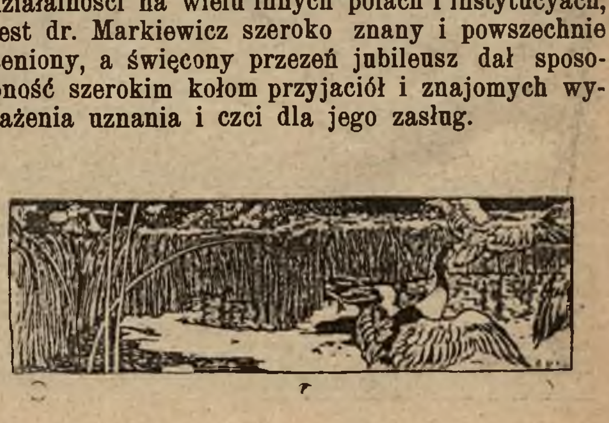
50-lecie pracy lekarskiej.

(Do illustracyi na stronie 4).

Przed kilku dniami obchodził znany w Warszawie lekarz, dr. Stanisław Markiewicz, pięćdziesięciolecie pracy lekarskiej, z czego 25 lat spędził na stanowisku naczelnego lekarza kolei wiedeńskiej.

Jubilat, objąwszy w 1882 r. to stanowisko, umiał dzięki swej ruchliwości i energii przeprowadzić wiele doniosłych spraw, powodując się zawsze obywatelskim duchem i stojąc na straży interesów pracowników kolejowych. Wychodził on bowiem z założenia, że należyta organizacya ochronna i lecznicza dla pracowników i grup zawodowych — jest niezawodnie jedną z potężnych pochodni światła, kultury, jedną z dźwigni, podnoszących godność i krzepiących siły nietylko grup zawodowych, ale i całej ludności, wsród której grupy te żyją.

Z tego powodu i z powodu jego patryotycznej działalności na wielu innych polach i instytucyach, jest dr. Markiewicz szeroko znany i powszechnie ceniony, a święcony przezeń jubileusz dał sposobność szerokim kołom przyjaciół i znajomych wyrażenia uznania i czci dla jego zasług.



Świętokradzki wandalizm.

Dotkliwą szkodę wyrządził jakiś nieznany dotąd rzezimieszek w kościele w Staromieściu pod Rzeszowem. Kościół ten, zbudowany w stylu gotyckim, o przepięknych witrażach fabryki krakowskiej, był wspaniałą ozdobą wioski.

I oto przed paru dniami najpiękniejszy witraż w drzwiach głównych, wartości 600 koron, został w zbrodniczy sposób zniszczony. Złodziej mianowicie, chcąc dostać się do wnętrza kościoła, rozbił witraż i wybitym otworem wcisnął się do świątyni. Tam otworzył witrychem skarbonę, nie znalazł w niej jednak ani grosza, tuż przedtem bowiem wypróżnił ją miejscowy proboszcz.



Świętokradzki wandalizm: Szczyt drzwi kościelnych z uszkodzonym witrażem.

Wyprawa złodziejska tedy nie udała się rzezimieszkowi i nie przyniosła mu żadnego łupu, świątynia jednak poniosła bardzo dotkliwą stratę, którą ze względu na brak funduszów, nie łatwo przyjdzie powetować.

Kto jest sprawcą świętokradzkiego wandalizmu, nie stwierdzono dotąd. Aresztowano wprawdzie wnet potem w Rzeszowie podejrzane mocno indywiduum, które tam próbowało włamać się do bożnicy, brak jednak na razie dowodów winy.

Gimnazyaliści-ogrodnicy.

Nauczyciele szkół średnich, mimo ciężkich warunków, wśród jakich swoje obowiązki spełniają, nie spuszczają z oka dobra młodzieży i kraju. Obok kształcenia młodzieży pod względem intellektualnym, zwracają baczną uwagę na religijno-moralną stronę wychowania młodzieży. Stanąwszy na wyżynie swego pedagogicznego i społeczno-narodowego zadania, stara się nauczycielstwo usilnie i obmyśla różne środki, aby młodzież w czasie wolnym od nauki czemś pożytecznem zająć i przez to uchronić ją od niejednego złego. Dziełem nauczycieli szkół średnich są: mustry, orkiestry, sloid, introligatornie, kasy oszczędnościowe, czytelnie itd. Wszystkie one istnieją, ale stopień, stan ich rozwoju i skutki zależą od profesorów założycieli, których na nieszczęście tak często przenoszą z zakładu do zakładu.

Bardzo pożyteczną nowość w tym kierunku wprowadził niedawno profesor gimnazyum w Podgórzu, p. Sikora. Oto za zezwoleniem dyrektora tamtejszego gimnazyum, p. I. Kranza, urządził 2 miesięczny kurs pomologiczny, na który zapisało się 64 uczniów klas wyższych.

Celem tego kursu jest wyzyskanie wolnego czasu młodzieży z jak największą dla niej korzyścią pod względem intellektualnym, zwłaszcza na poznanie praw przyrody i jej skutków, hygiena, do czego praca na wolnem powietrzu pod każdym względem wielce się nadaje, wzbudzenie u młodzieży zamiłowania do sadownictwa, zapoznanie jej z wartością owocu ze stanowiska ekonomicznego jako produktu bardzo pożądanego i skutecznego dla zdrowia.



Świętokradzki wandalizm: Kościół w Staromieściu pod Rzeszowem.

Kurs ten, ściśle zorganizowany, odbywa się w godzinach popołudniowych, wolnych od nauki.



Aparatem redakcyjnym W. Lis.

Gimnazyaliści-ogrodnicy: Grupa uczniów gimnazyalnych, uczestników kursu pomologicznego, pod kierunkiem prof. Sikory.

Obejmuje teoryę, praktykę i wycieczki. Teoretyczne wykłady odbywają się dwa razy tygodniowo, po dwie godziny w zakładzie gimnazyalnym. Praktykę odbywają uczniowie po 20 najwięcej, kolejno w prywatnych ogrodach księży kanoników Bożego Ciała i zakładu wychowawczego św. Rodziny.



Adam Didur.

Wycieczki odbywają uczniowie do ogrodów okolicznych wzorowych i wiejskich zaniedbanych w celu porównania stanu rzeczy. Zapał uczniów jest bardzo wielki, tak że po kilku dniach wielu chciało się jeszcze zapisać, czego jednak nie można było uczynić z powodu braku odpowiedniej ilości narzędzi i stałego miejsca dla doświadczeń. Wszelkie prace wykonywują uczniowie z wielkiem zadowoleniem i skrupulatnością.

Tak poważna a bardzo miła praca, wykonywana z pewną fantazyą i młodzieńczym zapałem, orzeźwia umysły uczniów, wzmacnia ich siły, pobudza do samodzielności i uczy cenić pracę drugiego, a zarazem wskazuje w krótkim czasie owoce sumiennych trudów ucznia.

Wypadek z samochodem.

Przed kilku dniami znany niemiecki publicysta i podróżnik, Rudolf Zabel, wybrał się samochodem z Frankfurtu nad Menem w podróż naukową, której czas trwania obliczano na kilka lat. Według obliczenia projektowana droga miała wynosić około ośmnastu tysięcy kilometrów, a prowadzić miała przez Niemcy na południe Rosyi, a następnie do Persyi, Afganistanu i Indyi. Udział w tej naukowej wyprawie przyjęła także małżonka podróżnika i dwóch rysowników, Limmer i Otto Boyer, a także mechanik i monter Fryderyk Roth.

Oba samochody podróżne, umyślnie w tym celu zbudowane, odznaczać się miały trwałością niezwykłą, niestety jednak pierwsza przygoda wykazała ich braki. A przygoda ta spotkała podróżników na samym początku wyprawy, za miastem Ingolstadtem. Gdy chauffer na szosie podmiejskiej chciał wyminąć wóz chłopski, samochód wpadł z całą siłą na przydrożne drzewo i rozbił się w kawałki. Najbardziej jednak ucierpieli podróżni, żona bowiem Zabla strzaskała sobie szczękę i silnie się poraniła, kierownik złamał rękę, a tylko podróżnik Zabel wyszedł z całej przygody względnie cało, odniósł bowiem tylko kilka lekkich, zewnętrznych uszkodzeń.



Wypadek z samochodem: Rudolf Zabel.

Adam Didur.

Znakomity śpiewak polski, niezrównany basista Adam Didur, który obecnie występuje w operze lwowskiej i cieszy się tam niebywałem powodzeniem, odwiedzi tymi dniami Kraków i wystąpi tu w sali Starego Teatru z własnym koncertem. Wiadomość ta wywołała wśród krakowskich miłośników muzyki szczerą radość, da im bowiem oddawna pożądaną możność ponownego usłyszenia potężnego a tak szlachetnie brzmiącego głosu niezrównanego śpiewaka.

Adam Didur, wychowanek Lwowa, rozpoczął studya w tamtejszem konserwatoryum, pod kierunkiem prof. Walerego Wysockiego. Następnie wyjechał do Medyolanu i tam uzupełniał swe studya. Wrodzona muzykalność i wspaniały, pełen metalicznego dźwięku organ głosu, zapewniły mu już w początkach karyery artystycznej ogromne powodzenie i sławę, którą zdobył w czasie występów na pierwszorzędnych scenach włoskich. Nie mniejsze powodzenie towarzyszyło mu w czasie występów w Londynie, a następnie w Ameryce.

Entuzyazm, z jakim spotyka się zawsze Didur, gdziekolwiek występuje, jest zupełnie zrozumiały, artysta to bowiem z Bożej łaski, który nie wielu równych znaleść może w świecie całym. Opromienia go też niepospolita sława, wzrastająca z każdym rokiem i zapewniająca mu jeszcze piękniejszą i jeszcze wspanialszą przyszłość.

Kąpiel wśród lodów.

(Do illustracyi na str. 18).

Charakterystycznem jest w Rosyi zamiłowanie jej mieszkańców do łaźni, skąd po użyciu kąpieli parowej przy niesłychanie wysokiej temperaturze, kąpiący się, cały zlany potem, wyskakuje przez okno do wybitej w sąsiedniej rzecze lub stawie przerębli i po zanurzeniu się w lodowo zimnej wodzie, wraca napowrót do łaźni. Nie należą tam również do rzadkości ludzie, którzy kąpią się w rzece przez rok cały codziennie, bez względu na pogodę i temperaturę. W zimie liczba amatorów kąpieli z konieczności maleje, znajdują się jednak i tacy, których nie odstraszają od tej przyjemności i najtęższe mrozy.

Mistrzowstwo w tym względzie zdobył służący generała Skobelewa, znanego z zwycięstwa nad Turkami, siwowłosy starzec, Czerkies Kisielew, którego rycina nasza przedstawia w kąpieli przy piętnastu stopniach mrozu. Kisielew od lat trzydziestu nie opuścił ani jednego dnia, by nie użyć kąpieli. Ostatnio kąpał się on w przerębli, wybitej umyślnie dla niego w zatoce fińskiej.



Aparatem red. W. Lis.

Gimnazyaliści-ogrodnicy: Praca uczniów przy oczyszczaniu drzew i obkopywaniu ziemi.

BEZ ZAWZIĘTOŚCI!

Powieść na tle opowiadań doświadczonego detektywa.

Z niemieckiego oryginału opracował Ł. R.

5 Ciąg dalszy

Zerwał się nagle komisarz z fotelu, wybiegł do przyległego pokoju i przyniósł stamtąd mały stos papierów. Z pomiędzy nich wyjął jakieś dwa arkusze i w nich rozczytywać się zaczął. Były to personalia Zofii Strobel. Nie wiele się z nich dowiedział; zawierały notatki, gdzie się urodziła, czem byli jej rodzice, tudzież: gdzie, kiedy i u kogo służyła. Był też i dopisek, zawierający notatkę, że Zofia Strobel obcuje często z Katarzyną Busch, znaną policyi z kłótliwego usposobienia.

W kilka minut potem komisarz Haller siedział w dorożce, spiesząc do mieszkania rodziców Zofii Strobel. Przybywszy na miejsce dowiedział się ze zdumieniem, że jej tam wcale nie było, że jej nie widzieli od czasu, gdy wstąpiła do służby u państwa Sandtnerów.

Komisarz kazał się zawieść na miejsce, w którem służyła Katarzyna Busch. Zuchwała dziewczyna przybrała wobec komisarza postawę dość wyzywającą, gdy ją zapytał o Zofię.

— A cóż mnie ona obchodzi? Czy to ja jej matka, albo opiekunka?

Komisarz wdał się w dyplomacyę, z łagodnym uśmiechem spojrzał na buńczuczną dziewczynę i rzekł wesoło:

— Nie gniewajże się tak bardzo panno Katarzyno, bo ja przecież nic złego nie myślę uczynić. Chciałem Zofię Strobel dlatego tylko zobaczyć, bo jedna pani przyniosła do mnie pieniądze, które Zofii niesłusznie zatrzymała, a jest tego około trzydziestu koron. Jeżelibym Zofii nie znalazł, to te pieniądze mogłyby jej przepaść. Wziętoby je na fundusz ubogich.

— Czy pan prawdę mówi, panie komisarzu?

— A przecież widzisz moje dziecko, że wyglądam wesoło, toć nie mam na myśli nic złego.

— No, jeżeli tak, to panu powiem. Ona tu była u mnie i powiedziała, że musi się ukrywać przed jakimś kochankiem, dlatego porzuciła służbę i mieszka u pani Huber, w czwartym obwodzie na Hechtengasse, pod numerem dziesiątym. A to się Zosia ucieszy, jak jej pan trzydzieści koron zawiezie.

Zadowolony komisarz spieszy do jedynego świadka, który tajemnicę rozjaśni. Wszedł na czwarte piętro i zadzwonił przy drzwiach, na których była kartka z napisem: „Rozalia Huber“. Drzwi otworzono i w nich pojawiła się średniego wieku kobieta.

— Czy pani Rozalia Huber?

— Tak jest.

— U pani mieszka Zofia Strobel?

— Tak jest.

— Czy jest w domu?

— Zdaje mi się, że jest, bo właśnie przed chwilą odwiedzał ją jakiś młody mężczyzna.

— Proszę mi wskazać jej mieszkanie.

Rozalia Huber poprowadziła komisarza wąskim kurytarzykiem i wskazała na drzwi, wiodące do pokoiku, który Zofia zajmowała.

Komisarz zapukał, ale nikt się nie odezwał. Ujął za klamkę, aby drzwi otworzyć, lecz były na klucz zamknięte.

— Panno Zosiu, proszę otworzyć, to ja — zawołała Rozalia Huber.

Nikt nie odpowiedział. Zniecierpliwiony Haller zaczął potrząsać drzwiami i rzekł głośno:

— Proszę natychmiast otworzyć, bo każę drzwi wyważyć.

Ale i teraz nie było żadnej odpowiedzi. Posłano po ślusarza i z jego pomocą drzwi otworzono.

Gdy komisarz wszedł do małego pokoiku, spostrzegł na łóżku dziewczynę, leżącą w ubraniu.

— Czyżby tak twardo zasnęła? — rzekł komisarz.

Twarz miała spokojną, uśmiechniętą; komisarz przystępuje do łóżka, aby zbudzić śpiącą i bierze ją za rękę. Ręka zimna, skostniała, trupia. Zdrętwiał Haller. Już był u celu, już cieszył się, że znajdzie rozwiązanie tej zagadki mordu, która go tak trapiła, a tu zamiast rozwiązania — drugą znajduje zagadkę. Co to znaczy? Czy to samobójstwo, czy też nowe morderstwo? Był jakiś młody mężczyzna, był dopiero przed chwilą. Kto to być może? Pewnie sprawca podwójnej zbrodni. Tak, niezawodnie. On zamordował Sandtnera, Zofia go tam widziała, a może wiedziała o tem; chciał usunąć świadka, zapewnić sobie bezkarność.

— Czy pani zna owego człowieka, który był u Zofii? — zapytał Huberowej.

— Nie panie komisarzu.

— Nie wie pani, jak się nazywał?

— I tego nie wiem.

— Jak wyglądał?

— Nie przypatrywałam mu się dobrze. Przeszedł prędko, miał kapelusz na oczy zasunięty. Był dość wysoki, młody, silny mężczyzna.

To jeszcze bardziej upewniło Hallera w przypuszczeniu, że oba morderstwa popełnił ten sam zbrodniarz. Młody, silny, powiedziała Huberowa, a według mniemania dr. Kromera, zabójca Sandtnera musiał być silnym człowiekiem. Gdyby o kwadrans przybył wcześniej, byłby go ujął. Zapóźno! Gdyby o kwadrans przybył wcześniej, byłby miał i świadka i sprawcę zbrodni na Rennweg. Spostrzegł, że drzwiczki u pieca uchylone; zbliża się, piec letni. W lecie w piecu palono. Zaciera ręce. Stosy spalonych papierów. Grzebie, aby jeszcze coś niedopalonego wyszukać. Papiery zwęglone rozsypały się w puch popiołu... A co one zawierały?

— Niech pani wezwie straż policyjną — zawołał komisarz i rozgląda się w pokoju dokoła. Wszystko w porządku, nikt tu niczego nie ruszał, nie przewracał. Nie było więc gwałtu, rabunku. Umarła leży cicho, niema, uśmiechnięta. Przy łóżku na stoliczku szklanka, w niej resztka silnej trucizny; czuć ją po migdałowej woni.

Weszła straż policyjna.

VII.

Sędzia Moran miał przekonanie, że Ella Gerlach była w porozumieniu ze sprawcą zbrodni. Jej zachowanie się przy sekcyi wydało mu się bardzo podejrzane, dlatego kazał ją śledzić. Jeżeliby nawet ktoś inny, a nie Costa popełnił morderstwo, to na każdy sposób w porozumieniu z Ellą.

Dwaj agenci otrzymali polecenie czuwania nad mieszkaniem Sandtnerów, śledzenia Elli, czatowania, czy kto się do niej nie zakrada...

Noc ciemna, chmurna, ponura. Ani jedna gwiazda nie wyziera z poza czarnej opony. Cisza nastaje w Wiedniu coraz głębsza, coraz szersza; olbrzym miasto zabiera się do spoczynku. W ogródku, pod oknami Elli, utajeni w krzakach siedzą ajenci Stein i Norbert. Już trzecią noc czuwają i nie widzieli nikogo, nic nie słyszeli.

— Mnie się zdaje, że szkoda czasu — szepnął Stein. Ot, przywidzenie sędziego. Ktoby po nocach chodził do takiej dziewczyny.

— Jakiż pan niecierpliwy; niekiedy i cały tydzień czatować trzeba... Cicho!...

Usłyszano stąpanie w przyległym ogrodzie. Coraz wyraźniejsze, coraz bliższe. Jakiś człowiek zakrada się, bo idzie ostrożnie, staje, nadsłuchuje; już blisko siatki ogródka, spina się przez nią, już jest w ogródku. Znowu stanął i nadsłuchuje; zbliża się do okna, trąca w nie końcem laski. Okno otwiera Ella Gerlach. Światło pada z okna; ajenci widzą teraz dobrze młodego człowieka, co tu wszedł ukradkiem; wspiął się po cokole ku oknu i wszedł przez nie do pokoju. Ella okno zamknęła natychmiast. Chciała spuścić storę, ale widać popsuła się sprężyna, bo stora nie zsunęła się, mimo wysileń.

— No, przecież! — mruknął Stein.

— Ale tu za nisko, nic nie zobaczymy — szepnął Norbert — trzeba nam wyleść na drzewo.

— Zgoda.

Jeden drugiemu pomógł i za krótką chwilę usadowili się nie źle na rozłożystym kasztanie. Stąd widzieli wszystko dokładnie, co w pokoju się działo. Ella stała za stołem, a naprzeciw niej młody człowiek, licho odziany, o powierzchowności zaniedbanej. Wyglądał na włóczęgę.

— Kto to może być? Dziwne, że dziewczyna dobrze wychowana, siostrzenica bankiera, przyjmuje takiego obszarpańca i to w nocy, potajemnie.

— Ha, musimy uważać na ich ruchy, na zachowanie się, bo usłyszeć nic nie możemy.

— To jakiś włóczęga.

— A może to morderca Sandtnera?

— Przysiągłbym na to.

— Musimy go ująć.

— Czyni mu jakieś wyrzuty. Patrz pan, tak mi się jakoś zdaje.

— Prawda. On się oburza, czy zapiera.

— Wyjęła list z kieszeni i coś mu odczytuje.

— On się cofa, daje rękoma znaki zaprzeczające. Teraz przechadza się rozdrażniony. Ona mu pokazuje zegar.

Za chwilę zobaczyli ajenci, jak Ella padła na kolana i ręce ku niemu wzniosła błagalnie, jak do modlitwy.

— To dziwne.

— Znowu przeczy głową i rękoma.

Nieznajomy chciał podnieść Ellę, ale ona wciąż go o coś błagała; wtedy odwrócił się gniewnie i tupnął nogą. Wreszcie Ella się podniosła, wyjęła z szafy pieniądze i położywszy na stole, wskazywała na nie ręką.

— Daje mu pieniądze. Zapewne na to, aby mu ułatwić ucieczkę. To niezawodnie morderca.

— Ba! pieniądze schował, ale daje znaki zaprzeczające. Zapewne zgadza się na to, aby uciec, ale przeczy, jakoby był mordercą.

Znowu ożywione ruchy obojga, znowu znaki przeczenia, wreszcie nieznajomy zbliżył się do okna.

— Aha! odchodzi, już otworzył okno. Prędko.

Zanim z drzewa się zesunęli ajenci, nieznajomy wyskoczył z okna, rzekł do Elli: „Za czternaście dni będę już za oceanem“ i rzucił się w krzaki. Ella zamknęła okno i zgasiła światło. Ajenci puścili się za nieznajomym, a ten dostrzegłszy pościg, pędził co tchu przez wielki, sąsiedni ogród. Już go doganiali, już był o kilka kroków przed nimi, gdy nagle przewraca się i znika im z oczu. Dobiegają, szukają, nigdzie ani śladu, a noc ciemna, że oko wykol, nic nie widać. Przeszukali cały ogród daremnie. Już brzaski świtu ukazały się na niebie, cała praca ajentów poszła na marne. Nieznajomy przewrócił się umyślnie, na czworakach pełzał w gęstwinie i dlatego stracili go z oczu.

VIII.

Pani Marya Sandtner siedziała przy biurku w buduarze i zaczęła list pisać, ale zaledwie kilka wierszy skreśliła, odłożyła pióro, zerwała się z miejsca i postąpiła ku oknu. Patrzyła przez nie w słoneczny blask nieba, chcąc myśli oderwać od smutku, co ją przygniatał, ogarniał. Ale i tam nie znalazła ukojenia, więc rzuca się na otomanę i bierze książkę; zaczyna czytać, chce się przejąć treścią książki, aby tłok smutnych myśli usunął się, pierzchnął pod siłą wrażeń, wysnutych z czytania.

Zapukano do drzwi. Weszła nowa pokojówka, przyjęta w miejsce Zofii, przepadłej bez wieści.

— Czego?

— Jakiś pan prosi o przyjęcie.

— Jak się nazywa?

— Nie dał biletu i nie wymienił nazwiska.

— Powiedziałam raz, aby mi nikogo nie wpuszczać bez biletu.

— Mówiłam temu panu, ale on stanowczo kazał oświadczyć, że widzieć się musi zaraz i że biletu dawać nie potrzebuje.

— Prosić do salonu.

Pani Marya zamyśliła się. Czyżby to on się odważył? Wie przecież, że policya czuwa, śledzi. Straszne! Gdyby to był on i narażał się na uwięzienie! Okropność! Takie myśli niepokoiły ją, przerażały. Myślała, że to Fryderyk Merk, a on przecież... on... była pewną, że on zamordował jej męża.

Weszła do salonu, gdzie już czekał na nią komisarz Haller.

— Nie zwykłam przyjmować osób, które nie wymieniają swego nazwiska, ale wpadło mi na myśl, że to pan zapewne przybywa z obowiązku urzędowego.

— Bardzo mi przykro, że muszę niepokoić panią...

— Słucham pana — rzekła spokojnie i wskazała Hallerowi krzesło.

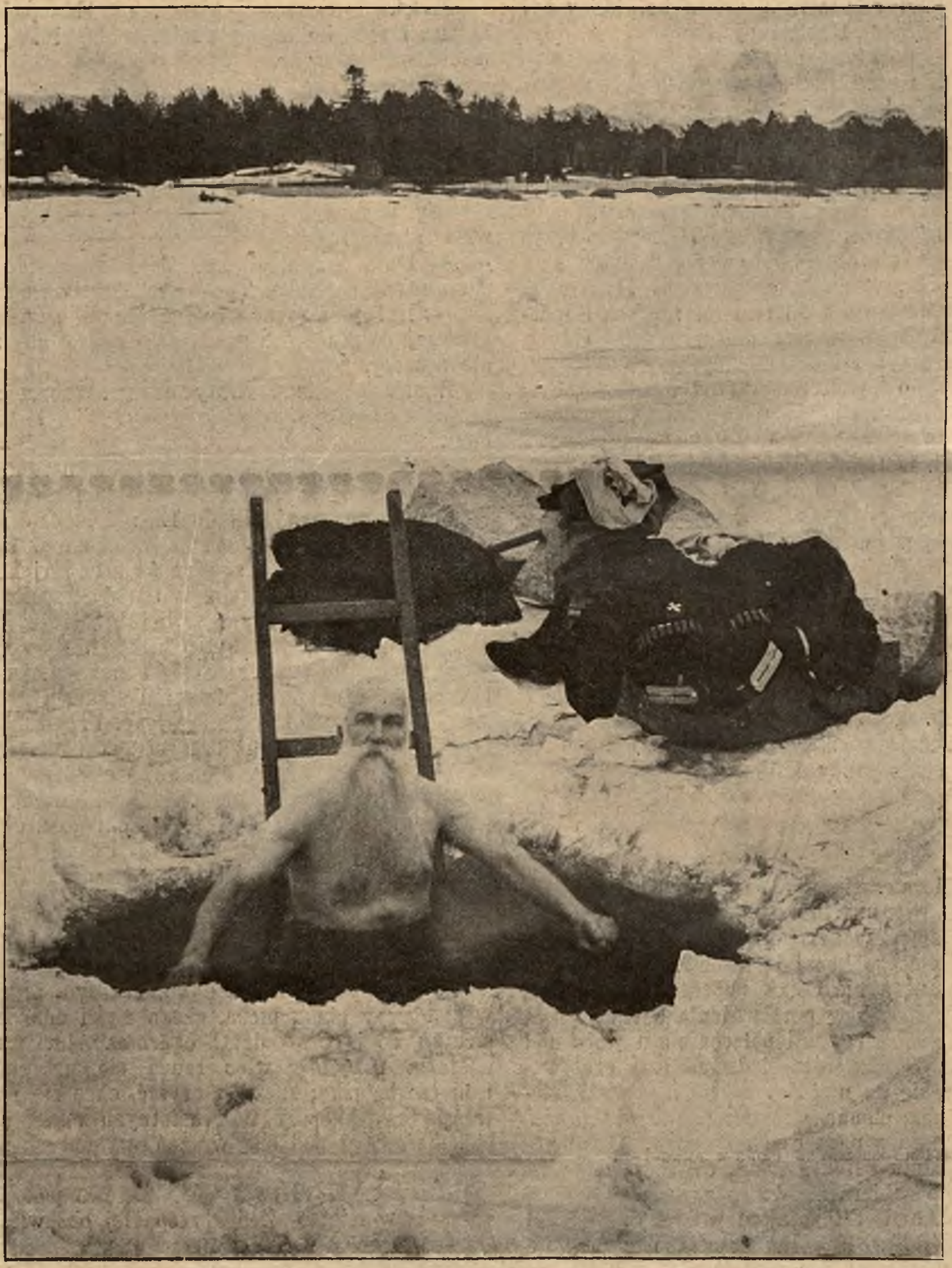
— Zdaje mi się, że pani gorąco pragnie, aby morderca męża dostał się jak najprędzej do więzienia.

Komisarz mówił zwolna, dobitnie, przyczem wpatrywał się bystro, uważnie w twarz pani Maryi, śledząc wyraz oczu, każdy nerw, każde drgnienie, każdy ruch. Wiedział z doświadczenia, że kobiety umieją łatwo i zręcznie ukrywać myśli, panować nad sobą, układać twarz do smutku, choćby go nie czuły i do śmiechu, choćby łzy je dławiły. Wiedział o tem i znał się na tem, a więc i wprawy nabył dość w rozróżnianiu tego, co u kobiety jest prawdą, a co udaniem. Wytężył wzrok i bystrość obserwacyjną.

— Nie wątpię, że pani zależy na tem? — ponownie zapytał komisarz.

— Jakże pan może nawet pytać o to?

(Ciąg dalszy nastąpi).



Fot. K. Bulla & A. Drankow, Petersburg.

Kąpiel wśród lodów: Czerkies Kisielew podczas kąpieli w zatoce fińskiej.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Przed *czwartą z pierwszą* strzegą Cię lekarze
Gdy wzgląd na zdrowie bronić tego każe!
Czwarta, druga i trzecia, jeśli się zdarzy,
Nic już nie pomoże i milion lekarzy!
Bo *druga z trzecią* rzecz dana od Boga
Dla wszystkich ludzi jednakowo droga!
Szósta z trzecią napotkasz tam gdzie wulkan bucha,
A ludzie giną wówczas pozbawieni ducha!
Czwarta, piąta i szósta to dzień odpoczynku,
Na którym zużywają ludzie dożo trunku!
Piątą wreszcie i *trzecią* znajdziesz w naszem siele,
A szczególnie ich wiele jest w każdym kościele!
Całość zawsze na wiosnę obchodzą w świątyni,
Co wobec Boga wszystkich pobożnymi czyni!

Zagadka II.

Ułożyła Wanda Spirydowicz.

Z podanych sylab utworzyć wyrazy, których początkowe litery czytane z góry na dół, a końcowe czytane z dołu do góry, dadzą dwa przysłowia:

A, a, bi, ce, ce, ci, cie, cze, cze, czaj, da, dzie, dzi, dzi, e, e, e, gar, ger, gnum, he, i, in, in, ke, kron, li, le, lus, lo, me, me, mi, mu, mosz, nan, o, o, pli, re, re, ro, rej, rod, ru, rat, ryk, se, ter, ter, tyst, wa, wi, wo, zra, zra, zu.

Znaczenie wyrazów: 1. Miejsce kąpielowe w Czechach. 2. Naród biblijny. 3 Dopływ Prutu. 4. Król żydowski. 5. Powieść Feldmana. 6 Inaczej aranżer. 7 Po grecku o. 8. Miasteczko na granicy Galicyi i Śląska 9. Kamień szlachetny 10. Ród z którego pochodziła żona Kmicica 11. Mały potoczek. 12. Przysiówek. 13. Inaczej Cheb (miasto w Czechach). 14. Jezioro we Włoszech 15. Bezkról wie po łacinie 16 Współzałożyciel Rzymu 17 Miejsce pogromu Napoleona I. 18. Ogłoszenie. 19. Imię męskie.

Za rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dziełko p. Róży Makarewiczowej pt. **»Praktyczna kuchnia«**.

Rozwiązanie zagadki z Nru 13

Szarada.

Sachalin.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: W. Baranowska Horodyszcze, M. Sekel, J. Malowaniec Jaktorów, H. Leligdowiczówna Fraga, A. Błażyński Trembowla. M. Ludwig Czarny Dunajec, H. Zielińska Manajów, S. Żołędowski Łysków, W. Bartoszyńska Gorlice, J. Strycharzewski Kopajgród. A. Patkowska Kraków, A. Strasik Rzeszów, K. Kosińska Brzesko, W. Spirydowicz Stara Sól, Jan Tobola Biała, J. Bazylewicz Jaktorów, M Rożański Libusza Z. Żubrowa Borysław, S Kozłowski Lubaczów, A. Sliwa Brzezina, Cell rin Bukowsko, R. Michalczewska Złoczów, J. Zajączkowski, F. Piotrowicz Ciężkowice, G. Kierska Truskawiec, W. Buszek Muszyna, Urząd pocztowy Lipa, A. Rakowski Kraków, S. Lindau Warszawa, J. Biegoń Sucha, H. Milkówna Sośnica, J. Strachocki Sanok, S. Schaffek Kuty, S. Jastrzębski, J. Jamrozy Podhajce, M. Małaczyński Pikulowice, Z. Fudko Kraków, I, Kiersnowski Kopyś, A. Rotter Stanisławów, Kwapiński Równe, J. Badura Rożdzień, K. Jasiński Kraków, M. Arbesbauer Lwów, K. Kuberski Warszawa, W. Bauman Przeworsk, Z. de Boulangé Gawłówek, L. Sarnawski Brzostek, S. Bagiński Oleszów, A. Kripp Berczów, T. Bicz Sufczyna, H. Chodkiewicz Warszawa, W. Stanula Samocice, M. Kuzia Wadowice, K. Scholz Gulcowa. E. Kuske Żbików, M. Zbudowska Mikołajów, S. Rogoyska Dębniki, F. Niepokój Krosno, M. Petrykowa Kozy, E Mayer Milatyn nowy, J. Zyzak Żywiec, S. Zięba Szczakowa, H. Grabska Kraków, Z. Geppertowa Michowa, E. Bogdalska Koropuż, M. Karasińska Wadowice, O. Górkowa Chyrów. Wielgos Wadowice, W. Łopaciński Lwów, dr. Nowaczyński Mielec, J. Garbień Stryj, F. Kosmider Nowy Sącz, B Ramnitowa Jeżów, J. Baczyński Ropienka, F. Schrottmann Mikuliczyn, J. Wilczek Krzyżtoporczyce, K. Fuchs Czeremchów, H. Pawłowska Bóbrka, A Dygoniowa Wadowice, S. Rohn Warszawa, M. Treppel Łobzów, Z. K. Warszawa, M. Myszkowski Hruszowice, P. Dzewiecka Lwów, W. Czeppe Tarnobrzeg, J. Gawenda Słotwina, F. Angielczykowski Lubaczów, J. Januszewski Podgórze R. Hamerling, O Tłuchowski Warszawa, K. Jurkiewicz Gwoździec, H. Kowalski Mogiła, S. Spunda Skała, W. Puchalski Horodenka, B. Mieczkowski Kraków, Sołtys Herbutów, M. Puchalska Warszawa, T. Bossowski Kopyczyńce, W. Łobos Łopianka, M Stachowicz Kraków. G. Stary Krzeszowice, F. Benroth Lwów, Stowarzyszenie ku wspieraniu położnic Tarnów, M Radlmesserówna Swoszowice, W. Neuman Potok Złoty, S. Eckhardt Stanisławów, J. Maniecki Nawojowa, I. Talaga Stale, L. Złochowski Zaleszczyki, S Kopffowa Tarnów, A. Bocsoń Bóbrka, W. Masiuk Dębniki, M. Grodzicka Dębniki, A Szymański Rawa, Ks. J. Dagnan, W. Rakiewicz Częstochowa, C. Nowakowski Łęki Królewskie, Z Gandnik Stary Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. dr Nowaczyński Mielec — Prosimy o nadesłanie 35 gr. na koszta przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Kazimierz Walaciński. Wierszów nadesłanych nam przez Pana zamieścić nie możemy. Są zbyt niedołężne. Radzimy też Panu szczerze, zamiast tracić czas na *takie* poezye, uzupełnić raczej swoje wiadomości z ortografii W szczególności proszę pamiętać, że słowo »już«, pisze się przez **u**, nie zaś przez »ó«.

Z półek księgarskich.

Z wydawnictw polskich ostatniej doby na szczególne uznanie zasługuje »Mapa W. Ks. Poznańskiego z oznaczeniem posiadłości pruskiej komisyi kolonizacyjnej nabytych po koniec 1906 roku«, sporządzona i wydana przez p. Zygmunta Swiatopełka Słupskiego, autora Atlasu ziem polskich, Mapy Prus Zachodnich i wielu innych pożytecznych dziełek. Świeżo wydana mapa lepiej niż wszystkie opisy i sprawozdania przedstawia naocznie szczerby w posiadłościach polskich, jakie poczyniła w ciągu lat dwudziestu, czyli przez cały czas swego istnienia, komisya kolonizacyjna.

NADESŁANE.

TELEFON 43 | TELEFON 43

MAGAZYN HENRYKA SCHWARZA W KRAKOWIE

ULICA GRODZKA L. 13

WEŁNY, JEDWABIE, OKRYCIA, ŻAKIETY, KOSTYUMY, BLUZKI, HALKI

Oryginalne amerykańskie gramofony 15—19

marki „piszący anioł“ jakoteż płyty wszelkich gatunków





poleca

Oskar Bergner

Lwów, Pasaż Hausmana 8.

Ceny fabryczne. — Zamiana płyt!

Cenniki darmo i opłatnie.

Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią zadowolnić

TUTKI CYGARETOWE

FRAM

z watą „Salvesol-Noris“

Bibułka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien liści morwowych, więc nic dziwnego, że pali się lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Własności te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku

wata „Salvesol“.

Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średnio-mocnych — wskutek swego nader delikatnego włókna roślinnego. — Każdy palący tytoń, chcąc uniknąć zatrucia nikotyną, powinien palić tylko w cygarniczkach szklanych z watą „SALVESOL“. **Oryginalny pakiecik waty „Salvesol“ wystarcza na 200—400 papierosów lub cygar.**

1000 sztuk tutek „Fram“ Kor. 3·—.
10 cygarniczek 1 Kor. 20 hal.
Pakiecik waty „Salvesol“ 30 lub 60 halerzy.

Zakład przemysłowy wyrobów papier. „Noris“

Mr. W. BEŁDOWSKI, Kraków, 2

Odznaczony dyplomem honor. i Medalem złotym na Wystawie wiedeńskiej 1907 r.

● Zaprzysiężony rzeczoznawca sądowy i oceniacz wojskowy ●

M. AMSTER, Lwów, ulica Jagiellońska 9

Pierwszorzędny Magazyn i pracownia Obuwia

męskiego, damskiego i dziecinnego — poleca znane z trwałości obuwie gotowe na składzie, tylko własnego wyrobu. Zamówienia z prowincyi uskuteczniam szybko.

43—52 1—60

TAPETY

POLECA

w wielkim wyborze na składzie

W. ADAMSKI LWÓW HOTEL ŻORŻA

Wzory z cenami wysela się opłatnie.

Modne łańcuszki niklowe

„łańcuszek z przesuwanem sercem“

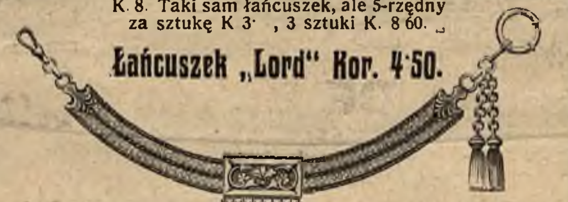
Kor. 2·80.

15—2



Prawdziwy 4-rzędny niklowy łańcuszek z sercem do przesuwania około 30 cm. długi z 3 sercami i kluczem św. Piotra w doskonałej, nie ulegającej zniszczeniu jakości za sztukę K 2·80, 3 sztuki K. 8. Taki sam łańcuszek, ale 5-rzędny za sztukę K 3· , 3 sztuki K. 8·60.

Łańcuszek „Lord“ Kor. 4·50.



5-rzędny prawdziwy niklowy łańcuszek „Lord“ około 32 cm. długi z emaliowanym, wycinanym, secesyjnym przesuwaczem, z okładzinkami z perłowej macicy i 2 kutasami w doskonałej nie ulegającej zniszczeniu jakości za sztukę K 4·50, 3 sztuki K 13·—.

Wysyłka za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem należytości przez c. i k. nadwornego dostawcę

HANNS KONRAD Dom wysyłkowy w Brüx Nr. 1307 (Czechy).

Bogato illustrowane główne cenniki z przeszło 3000 illustr. wysyła się każdemu na żądanie darmo i opłatnie.

Wyjątkowe ceny dla sprzedaży przedświątecznej:

Migdały najpiękniejsze (wybierane) ½ kilo K 1·36
Czekolada Sucharda po cenach oryg. fabrycznych

tylko **w Bazarze Cukrowym** w Krakowie ul. Sławkowska 8.

Andruty pod pieczywo. Marmolady i galaretki. Baranki Pisanki i t. p. — **Cukry deserowe** wyborne ½ kilo K 2.—, 2·40 i 3·—.

Kraków Sławkowska L. 3 Telefon 516

Kraków Hotel Saski Telefon 516



ZDZISŁAW ZDANOWICZ



Magazyn galanteryjny

Skład Bielizny, Kapeluszy,

Obuwia amerykańskiego

i przyborów do podróży.



Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

Paski damskie gumowe, skórkowe, szychowe i gurtowe

Rękawiczki niciane, jedwabne i Mitenki krótkie i długie

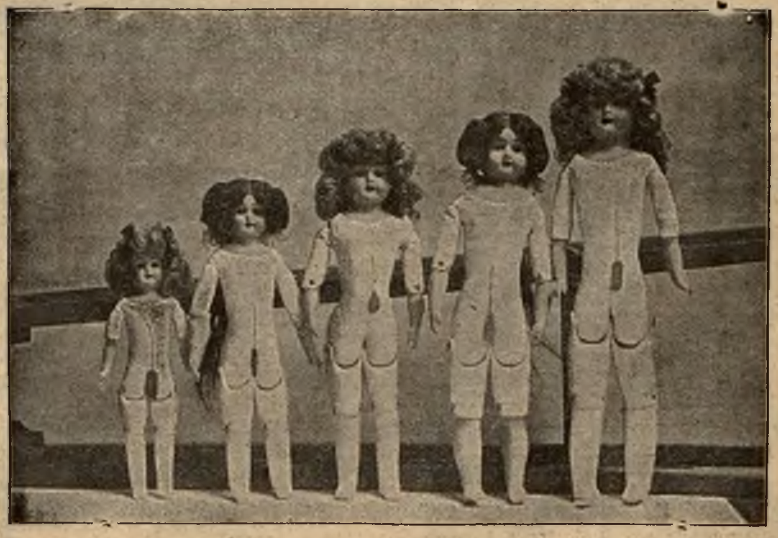
poleca po umiarkowanej cenie firma

Stefan Porębski

Kraków, obecnie Rynek główny Nr. 32, Linia C-D.

Cenniki illustr. na żądanie darmo i opłatnie

Największy WYBÓR LALEK na Galicyę!



Fabryka Lalek, KRAKÓW, ul. Wiślna 1/a

Specyalność: Lalki z prawdziwemi włosami, blaszanemi głowami (skórzane) i w krakowskich strojach. — Buciki, pończoszki, kapelusiki, parasolki, zegarki, mebelki i t. p. na składzie